KUŹMA JEŻ.

Opowiadanie z dawnych czasów

Z POWIEŚCI T. T. JEŻA

"Historyjka o Pra-pra-dziadku."

Z upoważnienia autora skróciła F. M.

CHICAGO, ILLINOIS.
NAKŁADEM I DRUKIEM WŁADYSŁAWA DYNIEWICZA.
1892.

KUŹMA JEŻ.

Opowiadanie z dawnych czasów

Z POWIEŚCI T. T. JEŻA

"Historyjka o Pra-pra-dziadku.

Z upoważnienia autora skróciła F. M.

CHICAGO, ILL.
NAKŁADEM I DRUKIEM W. DYNIEWICZA,
1892.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Szerokim gościńcem pięknie zabudowanej wsi ukraińskiej jechał szlachcic, a za nim podążał pachołek. Obaj na koniach, odziani byli w futrzane czapki, długie buty juchtowe i futra, z pod których wysuwały się końce pałaszy, coraz pobrzękujących o strzemiona. Przy siodłach przytwierdzone mieli topory i obuchy, bo w owe czasy szlachcic nawet w podróży bez oręża obejść się nie mógł. Działo się to zimą mroźną. Śnieg okrywał wieś całą, chaty, płotki, drzewa, a i podróżni ubieleni byli szronem.

Konie, poczuwszy żłób niedaleko, parskały radośnie, a Lisowski (tak nazywał się ów szlachcic) oglądał się wciąż, szukając czegoś oczyma. We wsi było cicho, na drogę nikt nie wyjrzał, tylko dym kurzył się z kominów i psy naszczekiwały. Dopiero przy grobli spotkali dziewczynę, dźwigającą nosidło z dwoma skrzypiącemi wiadrami wody.

— Niech Bóg pomaga! — zawołał do niej szlachcic, zatrzymując konia.

— Bóg zapłać!.. — odparła dziewczyna i szła dalej.

— Stój! nie uciekaj! — zawołał na nią. — Należy ci się od nas podzięka za dobre spotkanie, ładna dziewczyno. Bodaj-że ci za to czarne brwi jeszcze lepiej poczerniały!

— E! niech już one zostaną takiemi, jak je Pan Bóg stworzył — odpowiedziała dziewczyna, z ukosa spoglądając na jeźdzców.

— To niech zastaną, jeżeli ci się tak podoba, — zaśmiał się Lisowski i spytał: — a powiedz-że mi jak się też wasza wieś nazywa?

— Toż są Hrynenki... a jakżeby się nazywać miały! — dorzuciła dziewczyna, zdziwiona, że się znalazł człowiek, który nie wiedział, jak się nazywa jej wioska rodzinna.

— To dobrze, — zaczął znów Lisowski,— ale w waszych Hrynenkach dworu nie widać...

— A bo tu u nas dworu niema, — przerwała mu dziewczyna.

— To wskaż mi chatę podstarościego, — prosił szlachcic.

— A kiedyż i podstarościego nie mamy, — odparła z uśmiechem.

Lisowski zadziwił się bardzo tą odpowie-

dzią, gdyż wiedział dobrze, że wieś każda musiała mieć swego pana, lub też powinna była należeć do królewszczyzny, czyli dóbr królewskich, ale i w takiej wsi rządził starosta albo podstarości. Skądżeby więc Hrynenki mogły nie mieć swego pana? pomyślał sobie szlachcic, lecz nie spytał się o to dziewczyny, gdyż teraz pilno mu było dostać się do ciepłej izby, bo i koń pod nim rwał się do obroku i spoczynku, rzekł więc po chwili:

— Pytam się ciebie o dwór albo podstarościego, bośmy zdrożeni: chciałbym wypocząć i koniom dać wytchnąć...

— Dla podróżnego to i nasza chata otworem, — podchwyciła dziewczyna, nie dając szlachcicowi dokończyć. — Jeżeli wielmożnego pana łaska, to proszę za mną.

To wyrzekłszy, odwróciła się i wyruszyła, dźwigając chwiejące się wiadra i skrzypiąc butami po śniegu. Za nią pojechał szlachcic, a za szlachcicem pachołek. Konie mocno parskały, i żując wędzidła, wyciągały szyje.

— O! będą nam bardzo radzi!.. — zawołał pachołek z głupowatym uśmiechem.

Jakoż sprawdziła się jego wróżba. W chacie dziadów Jerynki — owej dziewczyny, spotkanej na drodze, wszystko, co żyło, wyruszyło

na spotkanie niespodzianego gościa.

— Niech będzie błogosławioną ta godzina. w której Jerynka zabrała się z wiadrami i po wodę poszła... mówił dziad, stary Semen, gdy mu dziewczyna swoje spotkanie ze szlachcicem opowiedziała. — Że też niespodziewanie Pan Bóg tak wielką radość na nasz domek zesłał!

Staruszka babka, ze sterczącą u pasa kądzielą, wypowiedziała też drżącym głosem jakieś uprzejme pozdrowienie. Ojciec Jerynki podszedł do nieznajomego, chcąc mu w czemś usłużyć, i żona jego miała na gościa zwrócone oczy.

Tymczasem szlachcic, przywitawszy gospodarzy, odprowadzonym został w kąt pod obrazy na miejsce honorowe czyli poczestne, jak mówią na Rusi. Zrzuciwszy teraz futro, pozostał tylko w łosiowym kaftanie, na którym gęste ślady jakichś kółek świadczyły, że często musiał przywdziewać żelazną koszulkę, broniącą od pocisków w czasie wojny. Z pod kaftana, spiętego szerokim pasem, widniały dwa rzemienie, do których przymocowaną była broń żelazna, ciężka. Bo też ręka, która nią władała, silną była; żyły po niej wiły się jak powrozy i ruchy jej lekkie, zwinne mówiły, że człek to był rycerski. A w postaci jego nie tylko dopatrzyć się można było niepospolitej siły ciała, ale je-

szcze z uśmiechu niełądnej, ospowatej twarzy i z pary siwych oczu, biła jakowaś taka łagodność i słodycz, że każdy, spojrzawszy na niego, musiał doń przylgnąć, jak do rodzonego brata.

— Siadajcież panowie gospodarze... Nie stójcie przedemną, — odezwał się, pas sobie rozpinając. Gość ma swoje prawa, gospodarz swoje.

— Wielmożny pan wielką nam radość sprawił... —odparł dziad.

— I mnie radość, panie ojcze. Ziębniętemu dostać się do ciepłej izby, do uprzejmych gospodarzy—to wielka radość...—odpowiedział gość.

— A jednak nam większa... — przerwał mu dziad Semen. — Bo chociaż się i trafi do nas gość, to go zabierze wójt, dobrodziej lub młynarz, i teraz, gdyby nie moja wnuczka, nie zawitalibyście pod naszę strzechę.

— A ja wiedziałam, że dziś będą goście, bo sroka na płocie do samego południa siedziała i skrzeczała... — szepnęła dziewczyna do ucha babki, ale tak, że ją szlachcic dosłyszał i rzekł jej na to ze śmiechem:

— Oj! nie mnie sroka zapowiadała, ona dla ciebie skrzeczała...

W tem drzwi skrzypnęły i wszedł do izby

młody, przystojny parobek.

— A oto — rzekł gość, pokazując na nowoprzybyłego;—jeżeli to nie twój brat ani krewniak, to tego ci sroka wywróżyła...

Starzy się głośno roześmieli, Jerynka pokraśniała jak kalina, parobczak się skłonił, obejrzał po izbie i stanął z boku, nieopodal od Jerynki, która na niego z pod oka poglądała.

— Co, a czy nie zgadłem?...—zapytał szlachcic.

— Toż to ono niby i tak...— odparł Semen. — Tylko, gdyby się sroce zechciało go zapowiadać, toby się chyba na śmierć zaskrzeczała...

— Często przychodzi, tem lepiej...—podchwycił Lisowski, a po chwili milczenia spytał się nagle: — Czy Hrynenki starościńskie dobra?

— Nie, wielmożny panie, to osada, — odpowiedział dziad, — u nas na Ukrainie są takie folwarki i wsie całe nigdzie nie zapisane do żadnych dóbr pańskich. I dobrze nam z tem, bośmy na swojej ojcowiźnie od dziadów, pradziadów.

— I tak wy w Hrynenkach bez pana sami się rządzicie i prowadzicie?

— Sami, wielmożny panie...

— I siedzicie sobie, jak u Pana Boga za piecem? — pytał szlachcic.

— A jak u Pana Boga za piecem,.. — odpowiedział dziad z uśmiechem.

— To wy niby szlachta? — zagadnął go Lisowski.

— Nie, my nie szlachta, — zaprzeczył Semen.

— Hum..., — mruknął sobie pod nosem szlachcic i ciągnął dalej powoli, — ale wy też nie chłopi i nie szlachta, bo lepiej wam od niej. Szlachcic ponosi ciężary, których wy nie znacie, idzie na wojnę bronić własną piersią kraj swój od wroga. A wy na wojnę nie idziecie, ojczyźnie podatku krwi nie składacie, korzystając ze wszystkich praw szlacheckich...

Podczas gdy tak mówił Lisowski, parobek, który niedawno był wszedł do izby i mowie szlachcica przysluchiwał się uważnie, nagle zaczerwienił się cały, oczy mu się zaiskrzyły, a występując na środek izby, rzekł głosem urażonym:

— Alboż to na Zaporoże od nas nie idą!... i czyż tam nasi nie giną za dobrą sprawę! — i dodał, — ach! gdybym ja tam mógł się dostać!...

Szlachcic bystry wzrok zwrócił na parobka i zatrzymał go na nim długo... Bo i było na kogo spojrzeć.

Młodzian stał przed nim rosły i smukły; z ja-

snych jego oczu przeglądał rozum, świeciła odwaga. A podobnym był w tej chwili do ognistego rumaka, który rwie się, chce zerwać wędzidła i pobujać po szerokich ukraińskich równinach, by zażyć stepu, swobody...

Lisowski, nie spuszczając oko z młodego Ukraińca, odpowiedział mu spokojnie.

— Na Zaporożu teraz złe rzeczy się święcą... Daj Boże, żeby z tych iskier wielki nie wzniecił się pożar... Chce ci się, parobcze, świata zażyć, ale szkoda cię na Zaporoże. — Potem jakby niechcący dodał: — Możebyś ze mną poszedł... A jak ci na imię?

— Kuźma, — odpowiedział parobek.

— To młynarza syn, — objaśnił stary Semen. — Oddawna już zachciewa mu się w świat... Sprzykrzyła się ojcowska strawa. Ale rodzicom trudno go puścić, bo jedynak... Gdy pójdzie, we młynie nie będzie kogo zostawić.

A babka od pieca mruczała:

— Ot, czego jeszczę nie stało!... Mleko ma jeszcze pod nosem, a już zachciewa się na Zaporoże...

— Oj, nie, już nie pójdę na Zaporoże, ale pojadę za tym panem — odparł Kuźma tak stanowczym głosem, że wszyscy ze zdziwienia

umilkli. A wśród ciszy, która zaległa izbę, szlachcic wyrzekł z powagą:

— Namyślę się... rozmówię ze starymi, to może i w świat wyruszymy!

I znowu wszyscy chwil kilka milczeli, aż dziad Semen zagadał o wojnie, co się na Wołoszech gotowała. Lisowski rozpowiadał o niej długo, zajadając wieczerzę, a wszyscy mowie jego przysłuchiwali się pilnie... Kuźma tylko słów jego nie rozumiał, bo już w uszach mu dźwięczały wojenne odgłosy i przed oczyma snuły mu się dziwne obrazy, których w izbie nie było i śladu... Aż Jerynka, widząc go takim nie swoim, trwożnie nań spoglądała. Wreszcie za rękaw go pociągnęła i zawołała:

— Kuźma!

— Co tobie Jerynko! — porwał się parobek, jakby go ze snu zbudziła.

— Mnie nic... — odparła dziewczyaa, — ale ty taki...

— Jaki?.. — zagadnął.

— Ot, albo ja wiem... taki nie swój... coś jakby ci w głowę weszło i przed oczyma się śniło... Co cię oczarowało? — spytała Jerynka.

— Co? — powtórzył bezmyślnie Kuźma.

— Chyba świat cię ten oczarował, co o nim

raby szlachcic mówił... — rzekła dziewczyna. Ale Kuźma nic jej na to nie odpowiedział, tylko po długiem milczeniu Jerynka dosłyszała, jak prawie szeptem powtarzał sobie: — „Ty świecie mój! świecie!... ”

Wtedy odwróciła się szybko od parobka, bo z oczy jej łzy gradem się polały. Uczuła taki ból w sercu, jak gdyby świat ten nieznany wydzierał jej miłość Kuźmy — tegojej kochanka, sokolika drogiego.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Późnym już wieczorem Kuźma wrócił do chaty młynarzy. Tam go rodzice oczekiwali z niepokojem. Matka, ujrzawszy syna, zawołała z radością:

— A ja myślałam, że tobie się co złego przytrafiło!...

— Cóż miało się przytrafić, — odpowiedział Kuźma — jeno w gości do Semenów przyjechał jakiś szlachcic... Rozpowiadał, co na świecie się się dzieje... ot, i zeszło...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zmilczał... Potem w kącie usiadł, w głowę się podrapał, znów usta utworzył, ale, spojrzawszy na

ojca, zamknął je nanowo... Ciężko mu było powtórzyć przed rodzicami to, co tak hardo wypowiedział u Semenów w chacie.... Te słowa „chcę w świat" — będą znaczyły dla ojca i matki: „chcę was porzucić na stare lata..."

Oj, bo i ciężko będzie mu rozstać się z nimi i z Jerynką. Kocha on Hrynenki, rodziców, narzeczonę... ale świat go ciągnie jeszcze więcej... Nawet gdyby mu ojciec nie pozwolił to wyrwać się on musi, by posłużyć dobrej sprawie i ludziom i przysporzyć sił swoich młodych. Ale jak wszystko to składnie ojcu wypowiedzieć?.. Rzecz niełatwa... trzeba było dobrą obrać do tego sposobność, a ponieważ teraz właśnie młynarz do snu się zabierał, więc Kuźma odłożył wszystko do dnia następnego. Nazajutrz zerwał się z posłania, skoro świtać zaczęło i kręcił się po izbie, jakby coś go ukąsiło. Aż go ojcowie spytali: „co mu takiego."

— Et nic, — odpowiedział, z pod oka na ojca patrząc.

Ten siedział zamyślony, z nasrożoną twarzą, a gdy tak czoło marszczył, Kuźma wiedział, że wtedy myślał, jak z jedynaka zrobić takiego młynarza, jakiego w całej niema okolicy... Jak mu to w takiej chwili powiedzieć, że nie chce już siedzieć we młynie?..

Milczał więc, a miarkował. Aż mu przyszło do głowy, że raby szlachcic na niego czekać nie będzie, a jemu lepiejby było pod jego wyruszyć opieką. Trzeba więc powiedzieć, — pomyślał, — niema rady!..

— Tatu... — odezwał się głośno.

— He?.. zapytał ojciec.

Kuźma chrząknął, pogładził się po czuprynie i tak przemówił;

— Mnieby już w świat pora ...

Młynarz brwi najeżył i rzekł srogo, a krótko:

— Głupiś, cicho siedź i mąkę miel...

Ale ani mina nasrożona ojca, ani jego słowa nie odstraszyły Kuźmy. Jak lody na rzece długo się mocują zanim pękną, ale gdy raz pękną, to już płyną, pędzą i wszelkie tamy gruchocą tak i nasz Kuźma, gdy raz przemówił, to nie powstrzymała go nagana ojca.

— Ja nie będę siedział we młynie... — odrzekł -- chyba na to, aby sobie łeb o kamień młyński roztrzaskać, jeżeli mi ojciec świata zobaczyć nie pozwoli...

A Kuźma to mówił z takim żalem w głosie i prawdą, że oboje rodzice oniemieli, i wpatrzyli się w syna. Nakoniec matka rozpłakała się i zawodząc pytała:

— Czyż tobie chleb rodzicielski gorzki, albo niesmaczny? czy ci czego brakuje, że tobie się świata zachciewa?... Czyż tobie rodzice skąpią albo żałują?

— Nie skąpią mi rodzice, ani żałują... — przerwał Kuźma. — Niczego mi nie braknie... chleb wasz smaczny i słodki... Ale ja młody, ja nie chcę, aby moje parobcze lata zgniły we młynie, aby się one mąki tej otrębami przysypały, abym ja się postarzał i nic innego nie słyszał, tylko szum wody na stawidłach...

Ojciec Kuźmy był surowy, a jednakże tknęła go przemowa syna. Przerwał więc mu łagodniej:

— Aleś jeszcze bardzo młody...

— Tem lepiej, żem młody... — odciął Kuźma ojcu. — Tem lepiej, że młodo na świat popatrzę, to prędzej powrócę...

— Och! — przerwała matka łkając — czy wszyscy wracają! na wojnie ludzie jak muchy giną... zaledwie dziesiąty powraca...

— E! co tam po próżnicy gadać — odezwał się ojciec gniewnie — trzeba, żebyś jeszcze ze dwa lata poczekał! Potem, to już ja sam ciebie wyprawię...

— Ja nie będę czekał!.. — odrzekł Kuźma stanowczo.

Ta harda odpowiedź wzburzyła młynarza do reszty.

— Nie będziesz czekał? — zakrzyczał blady z gniewu. — Jak ci kij na grzbiecie roztrzaskam, to może zaczekasz...

— Nie ojcze, — zawołał mocno Kuźma. — Jeżeli mi nie pozwolicie zobaczyć, to już i krzyż mi pobijcie i niech mnie piorun zabije, niech moje kości ziemia wyrzuci, jeżeli sobie głowy o kamień nie roztrzaskam!..

Na takie zaklęcie stary naraz złagodniał. Ze słów i wyprostowanej postaci Kuźmy taka jaśniała moc duszy, że młynarz westchnął i rzekł

— Ha... taka już snać wola Boża, żeby mnie z jedynego syna nie doczekać się pociechy... Có żrobić?.. Trzeba się ze starcami poradzić.

W Hrynenkach był taki zwyczaj, że gdy znalazła się jaka trudna do rozstrzygnięcia sprawa, to zwoływano naradę z najstarszych gospodarzy we wsi. Kuźma zrozumiał, że gdy młynarz odwoływał się do starców, to już jego własna wola ojcowska przepartą została. Rzucił się więc przed nim na kolana... Młynarzowi łzy w oczach stanęły.

— Ty mnie chcesz porzucić! — rzekł wzruszonym głosem — ty!.. Kuźma!..jedyne moje dziecko!..

To przemówienie niebezpieczniejszem było od gróźb wszelkich. Gdy ojciec krzyczał — Kuźma głos podnosił, gdy biciem groził — syn potrafił słowami zakląć młynarza, ale gdy prosił — serce Kuźmy zmiękło. Bo jak tu się oprzeć ojcowskim prośbom?

— Nie mówcie do mnie, tatulo, tym głosem... — przemówił wreszcie. — Co się stało, to się nie odstanie. Już teraz i wy, ojcze, i ja sam sobąbym się brzydził gdybym został... więc nie wstrzymujcie mnie.

Młynarz nic już nie powiedział. Tylko ruszył się z miejsca, od progu spojrzał na syna i wyszedł.

Kuźma zrozumiał, że poszedł starców zwoływać, z radości więc wielkiej chciało mu się i skakać i śpiewać, ale powstrzymał go od tego płacz matki. Tej, nic pocieszyć ani utulić nie mogło... Bo czyż to na to ona swe dziecko jedyne lulała, pielęgnowała, nad niem się rozpływała, chroniła je od najlżejszego zadraśnięcia by dziś poszło od niej daleko, na niepewne, może na niechybne złamanie karku... Biedna-ż jej głowa, biedna!.. W Hrynenkach cicho i spokojnie; na świecie burzliwie i straszno. Ona też od kolebki opowiadała swemu maleńkiemu o strasznych wielkoludach, upiorach i wilkoła-

łkach, których pełno za wioską rodzinną: — tak synka swego chciała odstraszyć od świata. Ale daremnie... Dla niego właśnie te straszne dziwy stały się przynętą... i teraz... niby smutny mateńkę spłakaną tuli, a uśmiechu szczęścia z twarzy odegnać nie może... Młynarka patrzy w Kuźmę, w słonko swoje, nakoniec łzy obciera i mówi:

— Nie dla siebie, gołąbku mój, chowałem ja ciebie — ale dla szczęścia twego i dla ludzi... Idź więc już — niech cię Bóg prowadzi... Ale jak źle tam będzie, lub gdy ci już świat ten sprzykrzy, to wracaj, wracaj prędko do matki, nim ziemią mię czarną zasypią...

— Oj, wrócę matko, wrócę, — zawołał Kuźma i sam się rozpłakał, jak dziecko.

Tymczasem ku chacie młynarzów dążyło grono poważne. Przodem szedł ojciec Kuźmy z Semenem, który prowadził rabego szlachcica; dalej postępował wójt i kilku innych sędziwych starców. A każdy z nich miał włosy białe. Na poważnych ich twarzach odbijała się sprawiedliwość, rozum i łagodność ojcowska. Całe młode pokolenie w Hrynenkach miała w tych starcach żywy przykład, jak mają postępować w życiu.

Gdy już wszyscy zgromadzili się w izbie, młynarz pierwszy przemówił:

— Mam syna, którego nie będę ani chwalił, ani ganił, bo go wszyscy znacie, panowie gromada... Syn mój jest najprzód moim, potem gromady dzieckiem... Mam i ja do niego prawa, ma i gromada: ja — ojcowskie, gromada — gromadzkie... Wasze panowie gromada, są ważniejsze od moich... Gdzie, kończą się moje, tam zaczynają się wasze, a moje skończą się niezadługo ... Ot... — rzekł, roztwierając ręce — w tej chacie, na podwórzu i z moją śmiercią, a wasze są szerokie, za człowiekiem hryneńskim patrzą wszędzie, a nie tylko za nim samym, ale za jego dziećmi, wnukami i prawnukami... Otóż z tej przyczyny udaję się do was, panowie gromada... Syn mój chce w świat... Odmawiałem go od tego, dałem mu ojcowskie napomnienie, ale się zaklął... więc wy, panowie gromado, osądźcie tę sprawę...

Skończył. Nastąpiło milczenie. Starcy myśleli i jaki taki począł głową kiwać, brodę gładzić i chrząkać, jakby się zabierał do mówienia. Aż wreszcie wójt zagadał:

— Onoby to nie było źle, żeby Kuźma przewietrzył się na świecie, jedno i drugie widział i słyszał...

— Kiedyż jeszcze bardzo młody — wtrącił jeden.

— Nic to nie szkodzi, że młody, — odparł wójt. — Kiedyż się uczyć, jeżeli nie w młodości! Jabym radził, jeżeli chce, niech z Bogiem jedzie, gdyby nie to, że on u młynarza jeden... Gdyby on nie był synem młynarza, to niechby szedł, choć jeden... Ale przez jego odejście poszkodować może cała gromada... Bo niech, czego Boże nie dopuść, ale co nas śmiertelnych czeka, młynarz zamrze, to kto poprowadzi młyn?..

— Ono to i jest — odezwał się głos w zgromadzeniu.

Milczenie zapanowało; aż jeden zwrócił się z zapytaniem do ojca:

— A ty-ż kumie, czy pozwoliłeś? on ciebie prosił i mówiłeś, zaklął się...

— Prosił... nie pozwoliłem; zaklął się... pozwoliłem... — odparł młynarz.

— W takim razie niema o czem mówić, — zauważył pytający.

Tymczasem oczy wszystkich zebranych zwracały się często na Semena, gdyż ten najprędzej mógł się przeciwko wyjazdowi Kuźmy oświadczyć, bo, jak wiemy, wnuczka jego Jerynka była narzeczoną Kuźmy. Semena nie ucieszyło to,

co w zgromadzeniu usłyszał. Milczał jednak i rozmyślał.

Wreszcie sprawiedliwość i dobro Kuźmy przeważyły widocznie, gdyż odchrząknąwszy rzekł:

— Oczywiście, bez młynarza gromada obejść się nie może, to prawda; ale czyż to nie można znaleźć takiego, co będzie miał do młyna ochotę? O takiego nie trudno, taki się znajdzie, a nie godzi się dla młyna chłopcu świat zawiązywać.

Semen ani wspomniał o wnuczce, a taki postępek podobał się zgromadzonym.

— Prawdę powiedział Semen, — rzekł wójt dodał: — Niech idzie!

— Niech idzie! — powtórzyli chórem zgromadzeni.

Ale narada nie była jeszcze skończoną. Młynarz znów przemówił, prosząc szlachcica, siedzącego dotychczas na uboczu, i z upodobaniem przysłuchującego się naradom Hrynenczan, żeby ten poradził mu, jak syna ma wyprawić?

— Poradzić mi wam teraz nie trudno, — odpowiedział Lisowski. — Niech jedzie ze mną, będę mu towarzyszem, a na radzie i napomnieniu ojcowskiem mu nie zbraknie... Jednego wszakże będę od was żądał, panowie gromada, a to: żeby Kuźma nie od samego młynarza, ale od

całej hryneńskiej wystąpił gromady.

— Jakto? — zapytał wójt.

— Żeby Kuźma, nie od samego młynarza, ale od całej hryneńskiej gromady wystąpił... — wyraźnie powtórzył szlachcic.

Starcy spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

— Tego jeszcze u nas nie bywało... — odezwał się jeden z nich.

— Ale to było przed wami... — rzekł szlachcic — a bywało tak: kiedy jeszcze ani szlachty, ani chłopów nie było, a gdy Polska znajdowała się w potrzebie, wówczas wojsko słały jej gromady. Z gromad występowali ochotnicy i one ich z chlebem, z solą, z błogosławieństwem i z zaopatrzeniem wyprawiały. A dzieci ich, żony, niedołężnych rodziców gromady brała na siebie... Czy to było źle albo niesprawiedliwie? — zapytał.

— Niema co mówić, — odpowiedzieli starcy, — dobrze było i sprawiedliwie.

— A więc, chociaż powiadacie, że: „u nas tego nie bywało" — to ponieważ było przed nami, więc warto to odnowić w pamięci. Warto przypomnieć szlachcie, że kiedyś chłop dzielnie w jednym z nią walczył szeregu... A że dziś Polsce zagraża wojna Wołoska, godzi się więc, aby Hrynenki wysłały jej od siebie

obrońcę... A że na ochotnika chce iść Kuźma przeto wyprawcie go z chlebem, z solą, błogosławieństwem i zaopatrzeniem na drogę.

— A no dobrze... odezwał się Semen.

— A że nie zostawia nikogo ze swoich w niedołęztwie, — ciągnął dalej szlachcic, — przeto na gromadzie nie będzie ciężył obowiązek doglądania mu gruntu i dobytku...

— A choćby i ciężył!.. — przerwał wójt — to gromada potrafiłaby podołać.

— Więc wyprawcie go w świat, a ja będę mu towarzyszem i opiekunem.

— Niech idzie od gromady!... powiedział Semen.

— Niech idzie!.. — inni powtórzyli chórem.

I znowu starcy milczeli i w głowie coś ważyli, aż jeden się odezwał:

— Ponieważ Kuźma idzie od gromady, przeto to znaczy, że gromada go, jak ojciec syna, wyprawia... A zatem gromada dla niego złożyć się powinna na konia, zbroję i na całe opatrzenie...

A to się samo z siebie rozumie... — odezwał się szlachcic. — A wyprawcie go jak towarzysza pancernego zbrojno i zapaśnie... On do jednej ze mną wstąpi chorągwi.

— Kiedyż w chorągwiach sama szlachta...

— zarzucił któryś, — chłopi tylko na ciurów i pachołków tam idą.

— Szlachta przedstawia swojemi osobami ziemie lub wsie, na których siedzi... — odparł szlachcic — i dlatego pod chorągwie się zaciąga... A że Hrynenki są też wsią tak dobrą, jak i wsie szlacheckie, przeto przedstawiciel Hrynenek ma prawo pod chorągiew się zaciągnąć.

Było w tem, co powiedział szlachcic, coś wykrętnego. Zgodzili się jednak i na to Hryneńczanie. Potem szlachcic rozpowiadał szeroko jaką zbroję, oręż i jakiego konia ma gromada sprawić swemu przedstawicielowi. Nakoniec zażądał, aby starcy zaopatrzyli Kuźmę w świadectwo, jako jest z ich wsi rodem, że jest chłopem i jako gromada wyprawia go od siebie.

A gdy dokument był już spisanym, podpisanym i pieczęcią gromadzką zaopatrzonym, wtedy rzekł Lisowski:

— Z wiosną powrócę, ale wówczas czasu nie będzie do stracenia... Przyjadę po to tylko, by zabrać Kuźmę, niechże więc wszystko dla niego będzie przygotowanem do podróży.

— Dobrze, wszystko będzie gotowe, — rzekli starcy.

— A teraz nic już nam innego niepozostaje — odezwał się wójt, — jak podziękować wielmożnemu panu i Kuźmę przywołać przed gromadzkich starców.

Na te słowa młynarz wstał i sprowadził syna, którego podczas narad nie było w izbie. Do wzruszonego Kuźmy wójt miał długą przemowę, którą tak zakończył: — „Idź-że, chłopcze, w świat z błogosławieństwem naszem! A pamiętaj o ojcu i matce, bo jak o nich zapomnisz, to będziesz jak ten pies, co liże łapę każdemu, kto mu kość rzuci... Pamiętaj o hryneńskiej gromadzie... Pamiętaj o prawdzie, sprawiedliwości, o Bogu..." — tak skończył.

Potem weselili się wszyscy, pocieszali rodziców i życzyli Kuźmie na szerokim świecie szczęścia, powodzenia i sławy.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Tegoż jeszcze dnia wyjechał z Hrynenek raby szlachcic, odprowadzony o milę całą od wsi przez całą hryneńską gromadę. I długo spoglądali Hryneńczanie za odjeżdżającym, aż znikł im oczu. Semen, zabierając się do odwrotu, rzekł:

— Ot, gdyby cała szlachta była jak ten

raby, to czyżby ludzie skarżyli się na nią!.. Powiadają, że jedna parszywa owca całe stado zaraża, czemuż to nie dzieje się naodwrót: jedna zdrowa owca czemu całego parszywego stada nie leczy?

I westchnął, a za nim wszyscy westchnęli.

Niedługo po wyjeździe Lisowskiego — wójt Semen i młynarz z synem wyprawieni byli po zakup potrzebnego stroju i zbroi dla Kuźmy. A gdy powrócili, to Hryneńczanie ledwo poznać mogli młynarskiego syna. Bo z pod żelaznego szyszaka wyglądało mu zaledwie pół twarzy... a resztę też ciała pokrywały mu puklerze, naramienniki i na placach od niechcenia zwieszał mu się płaszcz bogaty. Zdumieli się mężczyźni, widząc Kuźmę takim pysznym rycerzem; kobiety składały ręce z wielkiego podziwu, dzieci biegały w podskokach około konia, na którym siedział oglądany przez wszystkich, Kuźma. Dziewczęta oczy sobie wypatrywały na niego i niejedna, widząc Jerynkę smutną, tak jej mówiła:

— Jaka ty, Jerynko, szczęśliwa, że się za ciebie taki zaswatał parobczak! Tóż tu nie smucić, ale cieszyć się powinni... On na wojnie nie zginie, bo gdzież mu zginąć pod takiem żelazem! a do ciebie powróci, i powróci wielkim

panem, i ty z nim będziesz panią... Nie smuć się!.. szczęśliwa ci dola padła, taka, jak tej dziewczynie w bajce, co za królewicza idzie...

Jerynki jednakże to nie pocieszało, ona sobie myślała:

— Wolałabym ja, żeby mój Kuźma nie był panem i na takiego nie wyglądał rycerza. Byłby moim i niktby mi go nie zazdrościł. A tak, kto wie! może jaka wielka pani, księżniczka albo królewna zapatrzy się na niego i pozazdrości jego serca mnie, prostej dziewczynie... Gdzież mnie z paniami, księżniczkami, królewnami się równać!... Oj, biednaż moja głowa!...

I cicho płakała, i była tak smutna, że aż na nią babka i matka się gniewały.

Tymczasem miesiące mijały za miesiącami, aż przyszła wiosna.

Hrynenczanie wzięli się do pracy. Wyruszyły w pole pługi, a za pługami, z wyjątkiem starców, wszyscy gospodarze i parobcy. Kobiety w ogrodach rozpoczęły roboty. Wszystko pracowało. Jeden tylko Kuźma próżnował. Z początku po kilka razy na dzień ubierał się w całą swoję wyprawę znów i rozbierał się z niej, to też, gdy z początku uzbrojenie szło mu długo i niezgrabnie, później z łatwością prędko i przydziewał strój rycerski, wskakiwał i

na koń i gonił po drogach z kopiją w garści.

Często Semen, który za lat swych młodych był kozakiem, kierował nim, krzyczał: — „Na prawo!.. na lewo!.. w koło!.. kłusem!.. w cwał!..” Czasami też dawał mu rady, jak się ma zachowywać w czasie boju.

Takie były zabawy Kuźmy w czasie zimy, ale gdy nadeszła wiosna, wszyscy wzięli się do pracy, a raby szlachcic jakoś nie przybywał. — Kuźmie bez zajęcia zaczęło się przykrzeć. Za niego robił u ojca najęty parobek. Czasami bywało, weźmie za pług i chce dawnym zwyczajem iść w pole, aż mu przyjdzie na myśl, że a nuż właśnie dzisiaj raby szlachcic przyjedzie... I ręce mu opadną, i idzie na drogę wyglądać.

A szlachcica jak nie było, tak nie było widać....

Aż dnia jednego spełniły się oczekiwania Kuźmy.

Właśnie wieczór się zbliżał. Wracając z pola bydło napełniało wieś kurzem i rykiem.

Za płotem w ogrodzie Jerynka obsiewała ostatnią grządkę marchwi, a tuż za nią postępował Kuźma, zagartując ziemią, rzucone przez nią ziarno — gdy niespodzianie za ich plecami zawołał ktoś:

— Niech Bóg dopomaga!

A był to ten sam silny głos, który niegdyś pozdrowił Jerynkę, powracającą z wiadrami. Dziewczyna też pierwsza głos ten poznała, ręce jej opadły, ostatek ziarna wysypał się z fartuszka, a twarz jej zbladła, jak płótno... W oczach jej pozieleniało i długo stała, jak przykuta do jednego miejsca. Gdy nareszcie oprzytomniała, Kuźmy już przy niej nie było... Od przyźby tylko głośna dolatywała rozmowa.

— Ho, ho! nasz wojak poszedł się już stroić... — mówił Semen.

— A dobrze, odpowiedział Lisowski, zeskakując z konia, bo ja u was tylko przenocuję, a jutro ze świtem w drogę!

Kuźmie widocznie bardzo było pilno pochwalić się przed rabym szlachcicem swem rycerskiem opatrzeniem, bo w kilka już minut wyjechał przed Lisowskiego w zupełnem uzbrojeniu.

Szlachcic wszystko chwalił, a młodemu serce rosło z wielkiej uciechy... Niedługo jednak radował się tak Kuźma. Wkrótce przypomniał osbie rychłe rozstanie z wszystkimi swymi ukochanymi... i radość minęła.

Większość mieszkańców Hrynenek spała tej nocy zaledwie po kilka godzin. A co u młynarzów w chacie, to nikt i oka nie zmrużył...

Na progu u ich chałupy Jerynka całą noc przesiedziała. Kuźma coraz do niej się wyrywał, i siedział przy niej i jak mógł ją pocieszał:

— Nie płacz, — mówił — ja powrócę...

— O wróć mój luby, mój sokoliku jedyny, — prosiła dziewczyna.

— Jabym nie jechał, gdybym nie miał powrócić — mówił Kuźma. Nie płacz gołąbko moja. I tulił ją, ale Jerynka drżała i mówiła, że jej straszno.

— Czego? — pytał Kuźma.

— Czy ja wiem czego... — szeptała mu cicho. Wszyscy mi zazdroszczą. Dziewczęta powiadają, żebym się nie bała, bo ty w żelazie bezpieczny... A mnie to żelazo straszy — ty w niem taki zimny, taki inny. Ty może nie zginiesz dla ludzi, ale dla mnie... Jabym chciała światu ciebie wykraść, a bez tego żelaza, bez tych aksamitów zabrać dla siebie, tylko dla samej siebie!..

Kuźmie łza się pod powieką nawinęła, kręciła się, kręciła i — wyschła.

— Ale ja nie mam prawa ciebie ludziom zabierać — ciągnęła dalej Jerynka — bo ja jedna, a ludzi tyle. Ich więcej, toż mi im ciebie odstąpić trzeba... Idź między nich!

Tu jej w myśli panie, księżniczki stanęły;

zająknęła się więc i dodała:

— A jeżeli możesz, nie zapomnij o mnie...

I łzy jej strumieniem z ócz popłynęły.

A i Kuźma płakał. Pierwszy raz pomyślał, jak to mu będzie w dalekich stronach, nie mając przy sobie nikogo ze swoich, ktoby z nim razem, tak, jak oni teraz we dwoje, popłakał, pocieszył i posmucił. Mówił do Jerynki:

— Nie płacz!..

A sam płakał.

I tak noc im zeszła.

A gdy jutrznia zabłysła zaledwie malutką, czerwoną kreską na niebie, w Hrynenkach kto żyw dążył odprowadzać dwóch zbrojnych rycerzy... Konie szły wolnym stępem. Zbroje jeźdźców świeciły, promieniami jutrzni oblane. Tłum ludzi cisnął się koło nich i szedł za nimi. A wśród gromady rozlegał się płacz i zawodzenie kobiet. Przy bramie wioskowej tłum się rozstąpił. Rycerze koniom dali ostrogi i wyjechali za bramę.

Hrynenczanie odprowadzili ich za wieś na wzgórze. Podróżni obracali się jeszcze do nich i posyłali im pożegnania skinieniem ręki.

Gromada długo stała na wzgórzu i nie pierwej się rozeszła, aż we mgle porannej rycerze znikali zupełnie.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Podróżni jechali czas jakiś, milcząc, jeden obok drugiego. Kuźmie żal serce ściskał. Obejrzał się kilka razy. Hrynenek już widać nie było. Pierś mu się podniosła i łzy gwałtem do ócz mu się cisnęły. On je wstrzymywał bo wstydził się rycerskiego towarzysza i rycerskiej zbroi. Mocował się długo sam z sobą. Nakoniec — nie wytrzymał. Powściągnął konia, pozostał o kilka kroków i rzewnie zapłakał. Ustawał kilkakrotnie i znów rozpoczynał. Szlachcic nie zważał, a może udawał, że na to nie zważa. Bo skoro tylko Kuźma w żalu się utulił i popędziwszy konia swego, zrównał się z Lisowskim, ten go zapytał:

— Wiesz waszmość, dokąd jedziemy?

Kuźma zdziwion tem, że go szlachcic nazwał „waszmością," odpowiedział, jąkając się:

— Wasza wielmożność nie mówił mi...

— Nie nazywaj mnie „Wasza wielmożność" — podchwycił Lisowski, — mów do mnie i do każdego: waszmość albo panie.... I ja do ciebie będę przemawiał waszmość.

Potem pomyślał i znów spytał:

— A jak się waszmość nazywasz?

— Kuźma... — odpowiedział zdziwiony chłopak.

— A więcej?

— Jakto więcej?

— Jakie masz przezwisko?.... Jak ciebie ludzie po ojcu przezywają?

Przezywają mnie młynarskim synem, i tyle — odpowiedział Kuźma.

— A twego ojca?

— Młynarzem.

— A więcej nijak?

— Nijak...

— Hm?... — mruknął szlachcic — trzeba jednakże, żebyś się waszmość nazywał... Bez nazwiska nie można... Jakżeby waszmość nazwać?... Pomilczał, pomyślał i po chwili rzekł: Nazywaj się waszmość Jeż, od mego herbu ... Niech będzie Jeż, herbu Jeż ... Czy zgoda?

— Zgoda, — odpowiedział, uśmiechnąwszy się, Kuźma.

— A więc tedy, panie Kuźmo Jeżu,—mówił szlachcic, — trzeba żebyś o tem waszmość wiedział, że jedziemy do Kamieńca, gdzie zaciągniemy się do oddziału Jana Potockiego, starosty Kamienieckiego, waszmość i ja, jako towarzysze

pancerni... Trzeba żebyś pamiętał, że wszyscy towarzysze są sobie równi a więc i waszmość, panie Jeżu, będziesz wszystkim równy... Nad towarzyszami są namiestnicy i rotmistrz. Tym należy się szacunek i posłuszeństwo, o ile to dotyczy tylko wojskowej rzeczy, po za którą są oni takimiż jak wszyscy towarzyszami... Rozumiesz waszmość, panie Jeżu?

— Rozumiem, odpowiedział Kuźma.

— Dokument, który ci gromada dała, chowaj waszmosć — ciągnął szlachcic — nie pokazuj go nikomu, chyba w ostateczności.

Tak rozmawiając, Kuźma zapoznawał się z życiem, jakie go czekało, i śmiało już odzywał się do Lisowskiego, nazywając go waszmością i panem. Jechali pomału, często zatrzymując się na popasach i noclegach. Trzeciego dnia stanęli w Humaniu. Niewielkie to było miasto, ale słynęło podówczas pohulankami Zaporożców, czyli kozaków, którzy po powrocie z wojennych wycieczek wstępowali tu trwonić i przepijać zdobyte łupy. To też zdala jeszcze, dojeżdżających do miasta podróżnych naszych, dochodził niezwykły hałas zmieszanych krzyków, śpiewów, tworzących razem gwar do jarmarcznego podobny.

To Zaporożcy tak grzmią i huczą weselem,

— mówił Lisowski, odpowiadając na pytający wyraz Kuźmy.

Kozacy ówcześni był to butny i hulaszczy naród. Chłop, który nie chciał ugiąć karku przed samowolą pańską, zawadyjaka szlachcic, wygnany z ojczyzny, łotr, ścigany przez prawo, — wszystko to ciągnęło het! na południe pod opiekę pół dzikich i niedostępnych stepów. Ze zbiegów takich na Niżu przy ujściu Dniepru powstało niby wojsko, kilkadziesiąt tysięcy głów liczące, straszne dla Turków i Tatarów. Głównem ich siedliskiem była Sicz, forteczka zbudowana na jednej z wysp Dnieprowych. Bujni Zaporożcy nie mieli nad sobą ani pana, ani prawa, choć uważali się za podległych Polsce. Tylko z pomiędzy siebie wybierali najdzielniejszego za dowódzcę czyli atamana i napadli na Turka niewiernego... Broniąc Polskę od srogiego nieprzyjaciela, zasługiwali się porzuconej ojczyźnie. Tak było czas jakiś. Potem Turek spokorniał, a Kozak uzbroił się przeciw Polsce. I wszczęła się wojna domowa — ow straszny pożar, który przewidywał już Lisowski, odradzając Kuźmie, aby nie uciekł na Sicz.

Kuźma nie słuchał już nawet Lisowskiego, gdyż mnóstwo ludzi i dziwów, których nigdy jeszcze nie oglądał, ściągnęło jego uwagę zu-

pełnie w inną stronę.

Po ulicach snuły się kupy Zaporożców, a gdzie się tylko pokazali, tam zaraz za nimi ciągnął tłum ludzi, brzęczała muzyka, śmiech i wesele. Na półokrągłym rynku, otoczonym kramarskiemi budami, obwieszonemi przeróżnym towarem, najgłośniej brzmiała muzyka i z wytoczonych beczek lały się strumienie trunków w przeróżne naczynia, lub nawet spływały po ziemi. Zaporożcy hulali nietylko sami: oni całe miasto i wszystkich przechodniów podejmowali.

Kuźma przypatrywał się to cyganowi z niedźwiedziem, który różne dziwne pokazywał sztuki, to zatrzymywal się przed wystawionemi w budach towarami; to znowu spoglądał na ślicznie strojnych kozaków, którzy na prawo i lewo sprzedawali żydom za byle jakie pieniądze bogatą swą odzież; często też rzucali między tlum, jako dar, kosztowną rzecz, którą handlarz za nisko cenił.

Z Humania podróżni nasi jechali pomalu. Lisowski na popasach spotykał się ze znajomymi, którym towarzysza swego przedstawiał, jako Kuźma Jeża, rycerza z chorągwi Jana Potockiego starosty kamienieckiego. A gdy kto zauważył, że Kuźma zbyt z chłopska się wyraża, to Lisowski tak zagadywał:

— Jegomość pan Jeż zasiedział się w ukraińskiej wiosce... Ale to nic: przetrze się w świecie, to i będzie mówił, jak każdy z nas...

Przytem nie mianował on go szlachcicem wyraźnie, ale też i nie chłopem, i dawał pytającym do myślenia, że pan Jeż prędzej jest szlachcicem, niż chłopem.

Takie postępowanie Lisowskiego uderzyło niemile Kuźmę. Wydało mu się, jakoby on zmuszonym był wstydzić się rodziców własnych. Myślał o tem dzień jeden, drugi, aż wreszcie postanowił rozmówić się Lisowskim. A do tego następujące zdarzenie przyszło mu z pomocą.

Gdy na jednym noclegu spoczywali już, do izby weszło dwóch szlachciców i jako w karczmie zajezdnej, zaczęli hałasować i przy kuflach, podochoceni, rozprawiali ze sobą głośno.

Kuźma, nie mogąc spać, przysłuchiwał się ich rozmowie.

Szlachcice mówili o spodziewanej wojnie, jeden z nich, w stół uderzając, krzyknął: — „Oho!.. jakiem szlachcic, na to pozwolić nie mogę!.. Wojna po wojnie! Chcą chyba zniszczyć rycerski stan w Rzeczypospolitej, jedyną podporę miłej ojczyzny!.. Chłop bić się nie pójdzie!”

To skorciało Kuźmę, poruszył się i zawo-

łał: — Ocho, czemu nie pójdzie!..

Szlachcic, zdziwiony tem niepodzianem zaprzeczeniem, szedł w ciemny kąt izby, mruczał groźnie:

— Nauczę cię, chłopie mizerny, herbowym odpowiadać...

Kuźma był się już porwał z posłania, gdy nagle zobaczył przed sobą kark Lisowskiego, który go zasłaniał przed nadchodzącym szlachcicem. A ręką Lisowski szukał ręki Kuźmy i wsuwał mu na palec jakiś pierścień.

— Ha! jak się macie, waszmość panie Józefie!.. — wołał Lisowski, wyciągając drugą rękę do podpiłego szlachcica. — A tom z waszeci zażartował, naśladując chłopską mowę...

— A i prawda, — mówił zdziwiony szlachcic, gładząc się po czuprynie. — Toż byłem pewny, że jakiś hardy chłop zaprzecza moim słowom, a tu waszmość, panie Aleksandrze, wyrośliście mi, jak z pod ziemi...

Kuźma zrozumiał z tego wszystkiego, że wypadało cicho mu siedzieć. Więc choć go w gniewie coś aż podnosiło, to jednak przykrył się nanowo siermięgą. Potem słyszał jeszcze, jak szlachcic częstował Lisowskiego, ale leżał już spokojnie, przyciskając palcem daną sobie obrączkę.

Nazajutrz, gdy wyjeżdżali z zajazdu, Kuźma chmurny był. Na Lisowskiego spoglądał urażony i wreszcie, oddając mu pierścień, powiedział:

— Waszmość mnie do tego doprowadziłeś, że nie mogę się już przyznać do mojego ojca i do mojej matki...

— Wiesz waszmość o tem — odrzekł mu szlachcic — wlazłszy między wrony, krakaj jak i one... Możesz i do ojca się przyznać i do matki, ale nie teraz... Gdybyś się zaraz przyznał, toby cię szlachta nie przyjęła. Ale i teraz nie masz potrzeby wypierać się. Milcz, więcej słuchaj, niż odzywaj się, a gdy nadejdzie pora, gdy cnotą i zasługą wzniesiesz się nad rycerzy, wówczas wręcz im powiedz, że twój ojciec chłop i matka chłopka...

To ostatnie szlachcica powiedzenie, niby światły promień, przeniknęło do głowy Kuźmy i rozjaśniło mu w myśli.

— Chodzi więc o to — pomyślał sobie — abym nie wypieraniem się siebie poniżył, lecz własną zasługą i siebie, i swoich podniósł i na równi z tymi, co wysoko stoją, postawił.

— Ażebyś się waszmość od nagabywań uchronił — ciągnął szlachcic po długiej chwili milczenia — to weź sobie ten pierścień, który

mi oddajesz. Włóż go na palec i nigdy go nie zdejmuj. Na nim jest wyryty mój herb szlachecki. A kto nań okiem rzuci, ten nie będzie waszmości pytaniami męczył.

Kuźma przyglądał się pierścionkowi. W złotą szeroką obwódkę wprawiony był czerwony kamień. Na nim wyrżnięta była tarcza, a na tarczy zwierzątko, najeżone ostrymi kolcami, a pospolicie jeżem zwane. Zwierzątku temu przypatrywał się długo i myślał sobie: — Kto wie, może i mnie kiedy przyjdzie się tak ludziom nastawić, jak ten jeż psom...

Teraz jechał już Kuźma spokojny, wierząc w swe siły i ufając, że na prawą drogę zaprowadzi go jego opiekun.

Z ważniejszych i większych miast przejeżdżali przez Bracław, gdzie Lisowski przyjął dwóch pachołków: jednego dla siebie, drugiego dał Kuźmie. Taki był zwyczaj między rycerstwem, że każdy miał sługę dla nadzoru nad końmi i uzbrojeniem. Kuźmie dziwnem się wydawało, gdy mu pachołek trzymał strzemię i pomagał do wsiadania. Myślał sobie, że nie wszystkie zwyczaje tych ludzi, pomiędzy których wchodził, były mądremi, ale nic już przeciwko temu nie mówił, bo przypomniał sobie słowa szlachcica: „ wlazłszy między wrony, krakaj jak i one”.

W kilka dni potem dotarli do Mohylewa, miasta położonego nad rzeką Dniestrem.

Tam już wyraźniej, jak gdzieindziej, czuć było wojnę. Na ulicach pełno kręciło się żołnierzy. Na brzegach Dniestru i na górach rozstawione były czaty. Często dawały się słyszeć wystrzały z dwóch nieprzyjacielskich obozów.

— Na tamtym brzegu Dniestru, — mówił ręką wskazując, Lisowski — stoją oddziały wojewody Michała. Dzielny to wódz. Odkąd Wołosza wołoskim krajem, odtąd nie miała takiego hospodara. Widząc, że w jego ojczyźnie i Turcya, i Węgry, i Polska gospodarzy, powiedział sobie: „gdzie dużo gospodyń, tam izba nie wymieciona" Postanowił więc wszystkich nieproszonych opiekunów wygnać i samemu rządzić. I oto Turków już wypędził i wzdłuż rzeki Dunaju czterdzieści tysięcy palów kazał wbić; a na każdym zatknął po jednym łbie tureckim na znak, że się Wołosza na wieki od tureckiego odgrodziła państwa. Teraz Michał waleczny chce Polsce Multany zagarnąć. Kozaków buntuje. Multański hospodar, Jeremiasz Mohyła, przez Polskę osadzony, tam utrzymać się nie może. Tedy polska Rzeczpospolita z pomocą mu śpieszy.

———

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Od Mohylewa droga szła wzdłuż Dniestru. Kuźma, przywykły do stepowych widoków ukraińskich, nie mógł się dość napatrzyć pięknym górom, które piętrzyły się na obydwóch wybrzeżach rzeki. A nie mógł się nimi nacieszyć dlatego, że Lisowski mu mówił: „Za każdym zakrętem drogi, za każdą garbatością gruntu mogą się pokazać Wołosi..."

Na lewym brzegu straż trzymali Zaporożcy. Kilkakrotnie spotykali ich podróżni i dopytywali o Wołochów. „Przeprawiają się Tatary na wasz brzeg," odpowiadano. Przytem dodawali jedni, że tam wieś spalili, ówdzie zajęli bydło; — gdzieindziej zagarnęli.

Długo tak jechali, nie spotykając nieprzyjaciela, aż na jednym zakręcie drogi Lisowski krzyknął: „Baczność." — Pachołkowie nadbiegli na ten okrzyk, a Kuźma, ujrzawszy z zarośli wychodzącego człowieka, dobył broni. Lisowski jednak wstrzymał go, mówiąc: „Stój waszmość!.. to nasz!. "

Na ten okrzyk człowiek złożył broń, a Kuźma osadził konia w podskokach.

— Co tu robisz, kozacze? — zapytał Lisowski człowieka, który był Zaporożcem.

Zaporożec podniósł palec do ust na znak milczenia.

— Tędy — mówił cicho, przybliżając się, — przeciągać będą Wołochy ze zdobyczą Preprawili się, psiawiary, tej nocy i zrabowali wieś niedaleko. Zrobiliśmy tu na nich zasadzkę. Wasze wielmożności mogą nam pomódz. Jedźcie naprzód i zatrzymajcie się na górze przy krzyżu, a gdy usłyszycie strzelanie, zawróćcie i weźcie Wołochów od przodu.

To mówiąc, odszedł Zaporożec i znikł, jakby się pod ziemię zapadł.

Na górce u krzyża Lisowski z Kuźmą przygotowali się do natarcia. Widok ztamtąd był prześliczny, rozlegly, na rzekę Dniestr, skręcającą się kilkakrotnie, na jakieś wioski z błyszczącemi dzwonnicami, na stepy, góry i lasy, jakieś niby odymione i ciemnozielone.

Lecz Kuźma nie zważał na te piękności. On z niepokojem oczekiwał hasła. Nareczcie doczekał się. Zagrzmiało w powietrzu. Lisowski zakomenderował. Rycerze jak wicher puścili się z góry na nieprzyjaciela. Kuźma własną ręką położył dwóch. Cięcia jego były silne. W zapamiętałości podniósł rękę na jednego,

wołającego pardon, lecz szabla jego spotkała się z ostrzem szabli Lisowskiego.

— Bezbronnych nie zabijają — rzekł szlachcic.

Kuźma, jakby go kto na gorącym uczynku złapał, oblał się płomieniem wstydu i opuścił broń.

Zaporożcy z pomocą niespodzianą Lisowkiego odebrali Wołochom całą zdobycz, dziękowali więc podróżnym.

— To chleb oddany... — odrzekł, odjeżdżając szlachcic — dziś my wam, jutro wy nam... Bądźcie zdrowi, panowie Zaporożcy!

— Szczęśliwej drogi!.. — wołali kozacy.

I tak nasz Kuźma zajrzał rzeczywiście śmierci w oczy. Dostał uderzeń kilka, z których każde, gdyby nie wytrzymałość zbroi, mogłoby mu śmierć sprowadzić. Dostał obuchem w łeb i kopiją w bok, i szablą w kark, ale obuch, kopija i szabla ześliznęły się, pozostawiwszy tylko po sobie znaki w wygięciach i skazach żelaznej zbroi. Lisowski kontent był z niego. Mówił, żeby się tylko więcej ochraniał, a doskonały z niego będzie żołnierz. I rozpowiadał mu szeroko, jak ma się w bitwach zachowywać.

Tak postępował dalej, zbliżając się do Kamieńca. Pewnego południa usłyszeli echo dalekiego dzwonienia.

— Słyszysz? — spytał szlachcic towarzysza swojego.

— Słyszę... — odpowiedział tenże.

— Słyszysz, że dzwonią, ale nie wiesz gdzie..

— A gdzie? — zapytał Kuźma.

— Nie wiem, w którym kościele — odparł szlachcic z uśmiechem, igrając znanem przysłowiem — ale wiem, w kamienieckim.

— To my już niedaleko — zauważył Kuźma.

— Nie tak to bardzo blizko, ale bliżej niż do Mohylewa, a jeszcze bliżej, niż do Hrynenek... — żartował Lisowski; po chwili milczenia zapytał nagle: — Cóż, żal waszmości Hrynenek?..

Kuźmę niespodzianie spotkało to zapytanie. Od chwili wypłakania się nie myślał o wiosce rodzinnej, ale gdy ją sobie przypomniał i tych wszystkich, których tam zostawił, to odpowiedział natychmiast:

— Żal!..

To dobrze — odparł szlachcic. — Wejdziesz teraz między dworzan i dworne panie... Pilnuj się... Młodym często od zbytków i gładkich a nieszczerych ludzi w głowie się zawraca. Nigdzie

więc i nigdy nie zapominaj waszeć o Hrynenkach i o tych wszystkich, których tam zostawiłeś...

Kuźmie na te słowa szlachcica przypomniał się ojciec stary i matka, drżącą ręką błogosławiąca go na drogę i zapłakana Jerynka. A gdy ci wszyscy stanęli mu w pamięci, jako żywi, to westchnął głęboko..

Wieżyce kamienieckich kościołów i zamku ujrzał, jak przez mgłę, chociaż dzień był jasny i słoneczny.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Kamieniec był w owe czasy nietylko największem miastem na Podolu, ale i najznaczniejszą fortecą na południowem pograniczu Polski. Góry i urwiste skały dopomogły do obwarowania tego miasta. Zamek, w którym mieszkał starosta, stanowił też część warowni. Dokoła opasany był wysokim murem. Po rogach wznosiły się okrągłe wieże, zazębione u góry. A i wewnątrz wyglądało po wojennemu i jakoś ponuro. Kilka dziedzińców na krótko tylko oświetlało słońce i to nie całkowicie. Po większej części tonęły one w cieniach, jakie na nie

rzucały wysokie mury. Z dziedzińca do dziedzińca przeprowadzały sklepione, długie bramy pod którymi kroki przechodniów rozlegały się echem. A gdzie się tylko spojrzało, wszędzie widniały zęby i strzelnice. W samym zamku pokoje, przez starostę zamieszkałe, lśniły się i błyszczały od złota, malowań i różnobarwnych dywanów.

Sam pan starosta kamieniecki Jan Potocki był, jak to mówią, pan całą gębą. Bo w owe czasy chociaż pomiędzy szlachtą panowało niby zupełna równość, to w samej rzeczy jednak równość ta była jeno na ustach. W rzeczywistości ogromna zachodziła różnica pomiędzy takimi panami jak Potoccy, Wiśniowieccy, Lubomirscy i inni, — a prostą, ubogą szlachtą. Możni panowie siedzieli wówczas, jak jacy królowie, na ogromnych ziemiach, mieli swoje wojsko, znali się z sąsiednimi królami z którymi o sprawach Polski rozprawiali. Najczęściej się też działo w kraju nie to, co naród chciał, albo co król uważał za lepsze, ale to, co sobie ci potężni panowie postanowili przeprowadzić dla dobra swego lub swojej rodziny. Ponieważ zaś w Polsce miało się dziać to, co cała szlachta uradziła na zebraniach, zwanych sejmami, — to też możni panowie zjednywali sobie, karmili,

poili na swych ogromnych dworach uboższą szlachtę, aby już na wspólnych naradach ich się trzymała i głosowała za tem, czego oni chcieli.

Lisowski, otrząsnąwszy tylko kurz ze zbroi poszedł z Kuźmą na pokoje starosty. Potocki przyjął ich bardzo uprzejmie, a do Kuźmy przemówił:

— Bardzo miło mi powitać waszmości w moich progach, szczególnie w chwili, gdy nam potrzebne są rycerskie ramiona i odważne serca.

Kuźma skłonił się, jak go Lisowski nauczył, i na tem się skończyło.

— Stokroć przykrzejszemi były dla niego odwiedziny w pokojach starościny. Przedtem musiał się ubrać w suknie, dane mu przez Lisowskiego, a potem iść pomiędzy strojne a piękne panie, które go, jako nowego przybysza, ciekawie oglądały. Przed nim, kłaniając się na wszystkie strony, postępował Lisowski, a on szedł za nim zmieszany, nie wiedząc co z rękami i oczami robić ... Nakoniec stanęli przed starościną. Lisowski przedstawiał jej Kuźmę, lecz ona nie raczyła nawet spojrzeć na niego. Za to dworskie panie z coraz większem zajęciem spoglądały na Kuźmę. Kobiety zauważyły zaraz, że Kuźma jest jakiś nie taki, jak cała szlachta. Przytem, ciekawe i rade odkryć coś nie-

zwykłego, domyślały się w nim jakiegoś królewicza lub książęcia nieszczęśliwego, wygnanego i zmuszonego ukrywać swoje nazwisko i pochodzenie.

— Biedny, — mówiła jedna do drugiej, — zapewne przez długie lata musiał się kryć w jakiej wiosczynie, lub u Zaporożców i tam zapomniał zwyczajów dworskich!

Tymczasem nasz Kuźma ani się domyślał że go za tak wielką brano osobę. Cztery tygodnie, przez które bawił na zamku kamienieckim, wystarczyły mu zaledwie, by się trochę oswoić z osobami, obyczajami i rozmowami, jakie tam prowadzono.

Z kobiet jedna tylko szczególną jego zwróciła uwagę. Odróżniała się ona od innych dwornych pań wdowiem ubraniem i jakąś poważną, łagodną twarzą. Oczy jej spotykały się często z oczami Kuźmy.

— Czego ona na mnie oczy tak wytrzeszcza? — zapytywał siebie w duszy Kuźma.

— I znowu patrzyli na siebie. Oczy Kuźmy przyciągała jakaś wielka słodycz, rozlana na twarzy pani Wolskiej. A oczy wdowy zatrzymywały się na Kuźmie dlatego, że był jakiś inny od tych wszystkich, których dotąd znała. Pani Wolska, młoda jeszcze i bogata, miała

dużo zalotników, z których każdy prawił jej jednakie grzeczności i każdy nalegał, by za niego wyszła za mąż. Wszyscy oni dokuczyli wdowie i wszystkim też odmawiała swej ręki. Była ona bardzo rozumną i dobrą, trudno więc jej było wybrać równie rozumnego i dobrego męża. Podczas gdy inne dworskie panie upatrywały w Kuźmie królewicza, pani Wolskiej nie chodziło o to, jakie on stanowisko zajmuje na świecie, ale ciekawą była, kim on jest — jakim jest człowiekiem. A że Kuźmie z oczów patrzała szlachetność i dobroć, więc też wdowa rada była poznać go bliżej.

Nie przyszło jednak do tego, bo Kuźma trzymał się zawsze na uboczu i do nikogo się nie zbliżał.

Nadchodziła też chwila odjazdu. Pierwszą zapowiedzią tego było przybycie na zamek dwóch braci Chodkiewiczów.

Poczęto śpiesznie czynić przygotowania do odjazdu. A przygotowania te nie były małemi. Pod same sprzęty starosty szło ładownych dwadzieścia wozów.

Taki był obyczaj. Na polu bitwy urządzano namioty obszerne, jak domy, wewnątrz przybrane tak bogato, jak królewskie pokoje.

Główne dowództwo nad wojskiem, idącem

na Wołochów, miał Starosta, pod nim zaś dowodzili też Chodkiewicze. Służba w obozie dzieliła się, jak i dziś, na frontową i sztabową. Żołnierzom w sztabie lepiej się działo, niż tym, co służyli we froncie, gdyż sztab był zawsze przy boku wodza. Niepotrzebowali troszczyć się o jadło i wygody. We froncie było gorzej — tam nie można było pożywić się zapasami wodza, ani też zyskać nie jednę rzecz na usługach Starosty. Wszyscy więc cisnęli się do sztabu. Był jednak taki hardy człowiek, który, żeby nie wiem jak go prosili, za nicby nie wszedł do sztabu: był nim Lisowski. Takim był i Kuźma, więc zajął miejsce, jakie mu się podobało — przy Lisowskim, też we froncie.

Chrapliwy wrzask trąb i kotłów zwiastował że Starosta z orszakiem opuszcza zamek. Rycerstwo żegnało się z paniami, wsiadało na koń, wiały proporce, błyszczały zbroje i bronie. W powietrzu rozlegały się dźwięki wojennej muzyki, tentent koni i szczęk żelaza.

Gdy wszystko było gotowe, Starosta spiął konia i krzyknął: „do widzenia." Koń wspiął się, podskoczył, lecz, pociągnięty silną i wprawną ręką jeźdźca, chrapnął, parsknął, kark wygiął i wolnym stępem przez dziedziniec ku bramie poszedł i zniknął pod jej sklepieniem. Za

Starostą posunęło rycerstwo. W kilka chwil później słychać już było tylko echo tententu, jakie kute kopyta pod sklepieniem bram budziły. A potem i echo ucichło.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Oddział Starosty Kamienieckiego dążył na spotkanie i połączenie się z wojskiem hetmańskiem. Po drodze napotykali oni drobne podjazdowe oddziały Wołoskie, które z łatwością pokonywali. Kuźmę te łatwe zwycięztwa zaczynały niecierpliwić.

— Co mi to za wojna!.. Tym Wołochom, jak widzę, trzeba tylko pogrozić, a oni zaraz broń składają, — mówił Kuźma do Lisowskiego.

— Będzie z nimi trochę inaczej, — odpowiedział szlachcic. — Ci, co broń złożyli, to błędne owce od stada oderwane... Inaczej będzie, gdy spotkamy się z samem stadem...

Tymczasem hospodar Mikołaj ciągnął ze swem wojskiem, by Potockiemu połączenia się z hetmanem nie dozwolić. Starosta, domyślając się tego, postanowił zmylić Wołochów.

Potrzebnym był mu do tego człowiek zaufany. A wybór jego bez długiego namysłu padł na Lisowskiego. Jemu to, przydawszy sotnię kozacką do pomocy, polecił postępować drogą, którą sam miał iść początkowo i którą mieli na oku Wołosi. Sam zaś inną, niestrzeżoną przez nieprzyjaciela, przedostał się do Hetmana.

Zadanie Lisowskiego nie było łatwem. Wojsko swe rozstawił on tak, żeby w niem zdaleka nie można było rozpoznać znacznie zmniejszonych szeregów. W nocy obozowano rozgłośnie, każdy musiał hałasować za stu, mnóstwo też palono ogni, rozkładając je na znacznej przestrzeni. Starannie też unikał Lisowski zbliżenia się i stanowczej bitwy. Niedługo jednak mógł tak zwodzić przebiegłego hospodara. Poznał się na zasadzce Mikołaj i wyruszył tropić Potockiego, pozostawiając dzielnie wymykającemu się Lisowskiemu jeden tylko oddział.

Z tym przyszło do gorącej rozprawy, z której Lisowski wyszedł zwycięzcą. Kozacy byli zachwyceni swym wodzem.

— Hej! panie Lisowski! — wołali — przyjdź na Zaporoże, my ciebie natychmiast atamanem okrzykniemy! Czyż nie lepiej tobie być atamanem, niż prostym towarzyszem? Po-

słusznych za tobą tysiące ludzi pójdzie... Poprowadzisz nas po górach i lasach, po stepach i morzach...

A niebezpieczne były te namowy, bo każdy wiedział, że:

„Lepiej niźli panów panem
„Ukraińskim być hetmanem."

Kuźma dziwił się, dlaczego Lisowski nie chciał zostać odrazu hetmanem, a dziwił się tem bardziej, ze w kozakach poznawał znakomitych żołnierzy.

— Czemu waszmość na Zaporoże się nie udasz!.. — mówił do szlachcica. — Tam waszmości na rękach będą nosili...

— Ale tam, — odparł Lisowski, — byłbym tylko atamanem i straciłbym głos na sejmach... A mój głos może się jeszcze kiedy przydać ojczyźnie...

Postępowali naprzód. Sotnia wyciągnęła się dwójkami po drodze. Oręż wisiał od niechcenia na ramionach.

Kuźma patrzył na Zaporożców; patrzył i pytał sam siebie: — „Czemu oni gorsi są od husarzów i pancernych?.. Biją się, jak tamci, żyją i myślą, jak tamci; jedni z nich mają rozum, drudzy są głupi; jedni źli, drudzy dobrzy, zupełnie jak pomiędzy szlachtą, — dlaczegóż

tamci są co innego, a ci co innego?”

Ścisnął ramionami i nieumiał sobie na to odpowiedzieć. Po chwili myślał o sobie:

— O ja teraz ani do tych, ani do tamtych nie należę, — albo nie, ja i do tych i do tamtych należę...

Gdy w takich zatopiony był myślach, nagle tuż obok siebie usłyszał okrzyk:

— Ach!..

Drgnął całem ciałem, aż koń pod nim podskoczył, bo to „ach” jakimś znajomym zabrzmiało mu głosem. Obejrzał się. Przy drodze stała w łachmanach żebraczka i do Zaporożców rękę wyciągała. Ten rzucił jej grosz, ów chleba kawałek. Ona stała z wyciągniętą do kozaków ręką, ale oczami Kuźmę ścigała. Gdy Kuźma się obrócił, żebraczka prędko zasłoniła sobie łokciem twarz, odwróciła się i poczęła uciekać, nie pozbierawszy ani groszów, ani kawałków chleba, które u nóg jej leżały.

— Jakaś głupia, — odezwał się jeden z kozaków. — Prosi, żeby jej dać, a gdyś dał, to na drodze rzuca...

— Już mi ją nie pierwszy raz spotykamy, — dodał drugi.

— Jest tego dosyć... — dorzucił trzeci. — Wojna to niby sieje żebraków...

— To prawda... — rzekł Kuźma sam do siebie i jechał dalej, a w uszach ciągle mu dzwoniło to „ach" w drodze posłyszane, niby odgłos znajomy.

W kilka dni potem szczupłe siły polskie zebrały się nakoniec i połączyły, pomimo usiłowań nieprzyjaciela. Lisowski zastał już Potockiego w obozie hetmańskim. W porównaniu do nieprzyjacielskich szczupłemi były siły polskie, ale dzielnym wódz na ich czele stojący. To też w szeregach polskich nikt nie pytał:

— Ile tam jest nieprzyjaciół?..

Bo każdemu, przed tem zapytaniem, nasuwała się sama przez się odpowiedź:

— U nas jest Zamojski...

To znaczyło:

— Niechby tam nieprzyjaciel tak był nieprzeliczonym, jak piasek w morzu albo gwiazdy na niebie, to z panem Zamojskim potrafimy mu dać radę...

A i Michał, wojewoda Wołoski, pomimo swego znacznie większego wojska, unikał spotkania z hetmanem wielkim koronnym.

Musiało jednak przyjść do stanowczej walki, gdyż Zamojski tak swem wojskiem kierował by w jednej walnej bitwie zakończyć wojnę. Wojewoda ściągał swe wojsko i szukał korzy-

stnego, warownego miejsca. Obrał też sobie doskonałe nad rzeczką Telezyną. Z jednej strony rzeczka z urwistym brzegiem utrudniała przejście, z innej znów góry osłaniały jego wojsko. Od błotnistej równiny usypał wały i czekał spokojnie napadu wojsk hetmańskich.

Zamojski objeżdżał swe wojsko. Był w pełnej zbroi i na pięknym siedział koniu. Koń rwał się pod nim, gryzł munsztuk i ciskał pianą. Wódz jakby go nie trzymał... Zdawało się, że koń daje się powodować nie silnej ręce jeźdźca, ale jego woli. Hetman miał na sobie bogatą zbroję. Lekki pancerz, szyszak na głowie, na którym sterczały pióra czaple. Z ramion spływała mu burka, pysznem futrem podbita i spięta klamrą, drogiemi wysadzaną kamieniami. Siodło pod nim było aksamitne, a nogi opierał na złotych strzemionach. W ręku trzymał buławę hetmańską, brylantami, szmaragdami i turkusami błyszczącą.

Oblicze hetmana było piękne — piękne spokojem i powagą, patrzącemi mu z czoła, z oczu i z twarzy. Czoło miał szerokie, bruzdami poorane, oczy dużemi brwiami ocienione, twarz otoczoną siwą, przystrzyżoną brodą, od której odbijał również siwy, zwisły wąs.

Przejeżdżając przed szeregami, zatrzymywał

się przed każdym oddziałem i po kilka wyrazów zachęty przemawiał. Husarzom, pancernym i kozakom przypomniał ojczyznę, która na nich patrzy i spodziewa się po nich naprawienia krzywdy doznanej od hospodara, który wiarołomnie wyłamał się z pod zwierzchnictwa Polski. Węgrom i Niemcom, których też było trochę w zaciężnem wojsku, czyli na żołdzie płatnym, mówił o wojskowym honorze. Wszyscy zachwyceni byli hetmanem, a pomiędzy wszystkimi najmocniej Kuźma. Uczuł się on małym i zarazem wielkim: małym — porównując siebie z Zamojskim, wielkim — myśląc, że z nim razem dla jednej sprawy pracuje. Wlepił też oczy w słynnego polskiego wodza i nie mógł oderwać ich od niego.

Tymczasem hetman, otoczony dowódcami pomniejszych oddziałów, dawał im rozkazy. Do Potockiego rzekł:

— Wasza miłość z całem prawem skrzydłem udasz się na prawo, pociągniesz w górę Telezyny i, zakrywając się od Wołochów wzgórzami, podjedziesz rzeczką, zajedziesz nieprzyjacielowi z tyłu i całą siłą uderzysz... Masz Wasza miłość na to trzy godziny czasu... My... — tu powiódł wzrokiem po innych dowódcach, — rozpoczniemy bitwę natychmiast

i będziemy ją wlekli przez trzy godziny, po upływie których, całemi siłami na Wołochów ruszymy. — I dodał głośniej:

— Na swoje miejsce, waszmoście!..

Potocki wyruszył podług danego rozkazu. Kuźmie żal się zrobiło za polem bitwy, a szczególniej za wodzem.

— A toż chyba my się bić nie będziemy? — rzekł do jadącego obok Lisowskiego.

— Jakoś to będzie.... Dostanie się i nam.. — odparł szlachcic.

Z pola dochodziły ich odgłosy bitwy. Z początku strzelano i odstrzeliwano z broni palnej. Był jakiś czas odpoczynku. Wołosi myśleli, że hetman nie śmie na nich nastawać. Wystąpiło więc z wołoskich szeregów kilku pojedyńczych jeźdźców i wołało: — „Tchórze Lachy! A brodate i wąsate!.. A nu! czy nie znajdzie się między wami ani jeden śmiałek, coby się z Wołochem zmierzył!.. Tfu na was!.. Tchórze!"

Kipiało w Polakach. Przodkom naszym krzywe popatrzenie się krew psuło, nie dopieroż takie głośne i wyraźne wyzywanie. Radziby oni byli rzucić się w jednej chwili na Wołochów, ale Zamojski nie dawał hasła. Dopiero w chwili najwyższego oburzenia uderzono w trąby i kotły. Radosne „naprzód!" rozległo się w szeregach.

Wszystkie oddziały ruszyły kolejno. Zamojskiześrodkował wszystkie największe swe siły w miejscu, które najmniej ubezpieczył hospodar. Naprędce więc ściągał Michał swe wojsko. I gdy Polacy przeprawiali się przez rzekę, uszykowani już Wołosi zasypali ich kulami i strzałami z łuków. Zda się samo piekło zionęło na polskie wojsko, które z zarośli rzecznych, niby z pod ziemi, wyrosło. Przeprawa była trudna. Raz nawet wstecz się cofnęli. Lecz zachęta Zamojskiego sprawiła, że wpół godziny później biegły wojska polskie powtórnie na Wołochów.

A właśnie była to chwila, w której Potocki miał wykonać dane mu polecenie. Wszystkie swoje chorągwie i sotnie wyprawił starosta. Sam pozostał tylko na uboczu z pancernymi. Kuźmę to martwiło, lecz niedługo. Gdy wysłane wojsko nie złamało Wołochów, Potocki wydobył miecz, świsnął nim w powietrzu i, obracając się do pancernych, zawołał:

— Naprzód!.. za mną!.

Pancerni pędem poszli za starostą, który sadząc na koniu z podniesionym do góry mieczem, pierwszy najgęstszy szyk nieprzyjaciół przebił. Chorągiew utonęła w gęstwinie Wołoskiej. Każdy towarzysz znalazł się osobno i

każdy szablą torując sobie drogę, opędzał się Wołochom.

Starosta po zbroi poznanym był jako wódz. Na niego też najwięcej ciosów się skierowało. Otoczyły go szable, dzidy, topory; wzniosły się nad nim i zagroziły mu śmiercią. Starosta bronił się ze lwią odwagą, lecz sam tłumowiby nie podołał. Już ręka słabła, pancerz pękł i rozbity hełm spadł z głowy. Śmierć jego była niechybną... Nagle przy staroście zjawił się niespodzianie towarzysz, przed którym tłum się rozsunął — takie przed sobą koło długim a ciężkim zakreślił mieczem i tak parł się naprzód koniem.

— Starosto! mój hełm!.. — krzyknął towarzysz.

I w tej chwili lewą ręką odpiął sobia żelazną ochronę głowy, zdjął ją i podał staroście. Starosta zawahał się.

— Bierz!.. — krzyknął towarzysz — bo cisnę na ziemię!..

Starosta włożył hełm na głowę — bez hełma pozostał... Kuźma. Wszystko to w jedno mgnienie oko się stało. Wołosi, mszcząc się, że nie udało im się wodza zamordować, rzucili się na Kuźmę. On ich jeszcze raz rozgonił, zajeżdżając koniem dokoło starosta. Oni znów do

niego przystąpili. Kuźma bronił się, a broniąc siebie, zasłaniał wodza; aż pchnięty, cięty i uderzony kilkakrotnie, zachwiał się na siodle i runął na ziemię.

W tej chwili z jednej strony odezwało się zaporoskie „hura", z drugiej zatętniły kopyta. Byli to kozacy, którzy na początku bitwy ciągnęli wzgórzami, i oddział pod Janem Karolem Chodkiewiczem.

Wołochy pierzchnęli. Zwycięztwo Zamojskiego było zupełnem..

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Na polu bitwy pozostali ranni i trupy.

Trupów było dużo. Najliczniejszymi były one na tych miejscach, gdzie biły się piechota i oddział Potockiego.

Ranni, jedni siedzieli, sami się opatrując, drudzy wpół leżeli, stękając i jęcząc, inni drganiem tylko okazywali znaki życia, a byli tacy, co się czołgali, a nawet na nogi stawali i, kulejąc, ku wodzie się wlekli. Wszyscy, co tylko dźwignąć się mogli, do wody ciągnęli.

— Wody!.. wody!.. — było pomiędzy nimi ogólne wołanie.

Na placu bitwy jedna tylko istota była zdrów i żywa. Była to ta sama żebraczka, którą wciąż po drodze spotykali Zaporozcy. Chodziła ona po polu, przypatrywała się rannym, pochylała się nad trupami, a jeżeli który z nich twarzą obrócony był do ziemi, na wznak go przewracała.

Aż nagle zatrzymała się. Oczy jej słupem stanęły, nogi, ręcę i usta zesztywniały. Stała, wlepiwszy wzrok w rycerza, rozciągniętego na ziemi.

Był to Kuźma. Leżał on na wznak. Prawą ręką ściskał miecz, lewą przyciskał szyję, snać aby zatrzymać krew, którą obryzgany był pancerz i palce. Na twarzy miał sińce i krew. Włosy też w nieładzie, rozrzucone, zlepione były krwią. Żebraczka stała nad nim. Podniosła rękę i oczy dłonią sobie przetarła, jakby dla spędzenia z nich mgły, która im jasne widzenie zasłaniała.

Postąpiła kilka kroków, pochyliła się nad Kuźmą, uklękła i usta swoje z jego ustami spoiła. I nagle odskoczyła.

— Żyje!.. — krzyknęła.

Oczy jej i twarz zajaśniały radością. Przez

chwilę wpatrywała się w niego, powtarzając jeden wyraz: — „Żyje!.. żyje! żyje!..” Potem targała go lekko, jakby uśpionego i powtarzała — „Kuźmo!.. serce Kuźmo, gołąbku mój!..” Lecz Kuźma nie przebudzał się.

Raptem w ręce klasnęła i zawołała:

— Jemu potrzeba wody!..

Zerwała się i dokoła po placu obejrzała; nieopodal leżał hełm, ona go schwyciła i pędem do rzeki się udała. W chwilę potem wracała już z wodą, którą niosła ostrożnie, zatknąwszy dłonią dziurę, przez którąby płyn mógł się wylać. Twarz mu nią obryzgała i do ust mu hełm przechyliła. Kuźma poruszył ustami i napił się... Żebraczka uśmiechała się, a ręce jej drżały. Kuźma ciężko westchnął.

— Sokole mój... Serdeńko moje... Tobie ciężko... — szepnęła.

I natychmiast, rzuciwszy na ziemię hełm, z którego rozlała się reszta wody, zaczęła rozbierać rannego. To szło jej trudno, bo nie umiała się do tego wziąść. Rozpinała sprzączki i klamry palcami i zębami. Spieszyła się, chciałaby je targać, rozrywać, ale bała się przycisnąć, żeby Kuźmie bólu nie sprawić.

Uwolniony od zbroi, poczuł ranny ulgę, bo odetchnął i rękę od gardła spuścił na piersi. A

gdy odjął ją od szyi, pokazała się rana, na której krew zakrzepała i poczerniała. Ujrzawszy tę ranę, żebraczka drżeć zaczęła. Snac wydać się jej musiało, że ma gardło poderżnięte. Boleść zajęła miejsce uśmiechu. Klęcząc, szeptała:

— Jeżeli ty umrzesz, to i ja żyć przestanę... a póki ty oddychasz, ja tobie służyć będę...

I znowu rozbierała go, obmywała i palcami dotykając ran, przekonała się, że gardła nie miał poderżniętego, tylko mu z ust, jak z pieca, buchało gorąco, a z ran wszystkich, których miał nie mało, krew się sączyła. Temu już zaradzić nie umiała, więc ręce łamała, i modliła się, i płakała, i wzywała ratunku.

A snać proźba jej została wysłuchaną, bo na plac boju wjechał towarzysz pancerny i jechał wprost na miejsce, gdzie się potykal oddział starosty. Żebraczka, ujrzawszy go, krzyknęła i ręce do niego wyciągnęła. Rycerzem tym był Lisowski, który przypatrzywszy się żebraczce, krzyknął zdziwiony:

— Jerynka!.. A ty, moje dziecko, co tu robisz?..

— Ach, nie pytajcie mnie!.. — zawołała dziewczyna — a ratujcie Kuźmę, bo już ja nie

wiem co robić... krew mu płynie... Jak krew zatrzymać?

— Żyje? — zapytał szlachcic i podszedł do Kuźmy, a opatrzywszy rany, rzekł: — Będzie żył... Natychmiast przybędą tu tacy, którzy mu skuteczniejszą, niż moja, pomoc przyniosą... Ale cóz ty tu porabiasz?..

— Ja... za nim chodziłam póty po świecie, aż Bóg dozwolił mi spotkać go wówczas kiedym mu najwięcej była potrzebną... O, Boże!.. żeby on ino żył... och!.. i gdyby się ta wojna skończyła.

Lisowski, który na nią patrzał przez łzy i zdawał się wzrokiem mówić „Jakaś ty dobra", odpowiedział jej stanowczo;

— Wojna się skończyła...

Tymczasem przyjechała kareta hetmańska z doktorami, którzy na poduszkach Kuźmę ułożyli i opatrywali mu rany. Potem ostrożnie ułożyli w pięknej, złocistej karecie, — a Jerynka stała na uboczu i szeptała:

— Jak oni go kochają... jak oni go pielęgnują...

Kareta ruszyła. Dziewczyna chciała postępować w oddaleniu za nią, ale Lisowski wyrobił dla niej to, że jej pozwolono jechać razem z Kuźmą. Jakże była szczęśliwą Jerynka, że

mogła doglądać w chorobie swego narzeczonego. Niedługo jednak to trwało. Lisowski odjechał, wielcy panowie zapomnieli o biednej żebraczce, a słudzy dworscy, uważając ją za jakąś włóczęgę, wygnali ją z pięknych pałaców. Wtedy biedna Jerynka podkradła się pod okno rannego i tam przesiadywała noce i dnie całe, — oddalając się tylko dla wyżebrania paru groszy na jadło. Raz, gdy Jerynka, szepcząc: „gołąbku mój, sokole"... do szyby się tuliła i jak zwykle, od okna oderwać się nie mogła, ktoś wszedł do pokoju. Ona odskoczyła. Lecz, zbliżywszy się znów ostrożnie, widziała, jak ten ktoś podszedł do łóżka Kuźmy, odchylił zasłonę i ona go ujrzała.

Wydał się jej blady jak ściana. Nie spał, bo człowiek, co wszedł, lekarstwem go poił i niektóre z jego ran przewijał.

— Ach czemuż to ja tego nie robię... Jabym nigdy w nocy oka nie zmrużyła... — szeptała Jerynka.

Tymczasem człowiek z pokoju, skończywszy przewijanie, powiedział tak głośno, że aż Jerynka usłyszała:

— Niech wasza wielmożność nie rusza się i nie mówi, bo to szkodzi... Jeszcze kilka dni

cierpliwości, a wasza wielmożność będzie mógł wstawać...

Jerynka ani jednego z tych wyrazów nie uroniła. I odtąd z większą już nadzieją spoglądała w okno chorego.

Pewnego dnia przyjechał Lisowski, a spotkawszy Jerynkę, chciał ją znowu do Kuźmy zaprowadzić, ale ona na to odpowiedziała:

— O nie chcę... już do Hrynenek powrócę, żebym go tylko chodzącego widziała, to zaraz powrócę.

— Poczekaj-że przed bramą, — rzekł Lisowski — i patrz na podwórze.

Potem poszedł do pałacu i, po upłynieniu więcej jak pół godziny, wyszedł, a z nim Kuźma.

Żebraczka stała za wrotami, przytuliwszy się do muru i głowę wychyliwszy, śledziła każde stąpnięcie, każdy ruch Kuźmy. Lisowski prowadził go pod ramię. Słudzy nieśli za nim krzesła i poduszki. Kuźma postępował noga za nogą i co kilka kroków siadał. Jerynka mogła widzieć go dobrze. Był blady i obwiązany. Słyszała jego mowę; odpowiadał Lisowskiemu, który go pytał:

— Więc, waszmość, czujesz się lepiej?

— Lepiej... coraz lepiej...

— Siły wasze wracają?

— Wracają... alem jeszcze bardzo osłabiony...

— A jak wyzdrowiejesz, to do Hrynenek pojedziesz?..

Chory się uśmiechnął, a żebraczka słuch wytężyła i następujące do jej ucha doszły wyrazy:

— O gdybym ino prędzej wyzdrowiał... Chciałbym widzieć i ojca, i matkę i...

— I kogo jeszcze? — dopytywał się Lisowski, spoglądając z podełba ku bramie.

— I moją narzeczoną Jerynkę.

Żebraczce łzami oczy wezbrały, a uśmiech rozpromienił twarz jej.

— To dziwne, ciągnął chory powoli — czy uwierzysz waszmość, że mnie się zdaje... że ona przy mnie była w czasie choroby.

Lisowski znów spojrzał ku bramie. Żebraczka płakała i śmiała się.

— Jakbym ją we śnie widział ...—ciągnął dalej, a coraz słabiej — jakbym jej pocałunki czuł... to dziwne!.. A przecież to tak było wyraźne...

Kuźma zamilkł i rzucił okiem ku bramie. Jerynka za mur się schowała.

Jeszcze długo chory siedział na podwórzu,

a żebraczka nie odstępowała bramy.

W końcu Lisowski odprowadził go do pałacu, a gdy wyszedł, to już się nie spotkał więcej z Jerynką. Ona szła, nie szła — biegła drogą do Hrynenek prowadzącą.

Jerynka odważnie, jak widzieliśmy, wyprawiała Kuźmę w świat. Lecz rozstawszy się z nim, zrobiło się jej tak tęskno, a tęsknota jej tak z dniem każdym rosła, że ojciec i matka, dziadek i babka, młynarz i młynarka i cała wieś spostrzegli się i pytali ją:

— Co tobie Jerynko?

— Nic... — odpowiadała im wszystkim dziewczyna...,

To „nic" jednakże nie dawało jej ani spać ani jeść i trawiło ją, jak choroba. Rumiane jej policzki bladły, ciało opadło, schło, żółkło. A gdy wieść o wojnie rozeszła się w Hrynenkach, strach wielki opanował Jerynkę. Nie wiedziała, co z sobą począć. Aż pewnego poranku rozeszło się po wsi: „Jerynka przepadła." Co się jej naszukano po drogach i lasach, po polach i rowach — nigdzie jej nie było. Przepadła i ślad jej znikł. Nic z domu z sobą nie wyniosła, nawet zwykłej odzieży i dopiero później opatrzyła matka, że się wybrała w zgrzebnej koszuli i zapasce. Matka, babka i młynark

opłakały już ją jak umarłą, ojciec, młynarz i dziad mocno się zasmucili, we wsi gadano o niej przez kilka dni, a potem przestano gadać.

A ona wybrała się szukać po świecie kochanka. Szła i pytała ludzi o drogę na Mołdawię. Błądziła i szła ciągle o żebraczym chlebie. Sypiała po trawach, płotach i pod płotami. Znużenie podróżne przykryło jej piękność kurzem i cierpieniem. Wyglądała jak ostatnia nędzarka. Z początku przechodziła między wojskami wołoskiemi. Wołochy nic jej nie mówili — jałmużną nawet częstowali. Potem spotkała podjazdy polskie. Od tego czasu ich się trzymała, myśląc: „Jeżeli mam Kuźmę znaleść, to między naszymi." Nakoniec odnalazła go. Pierwszy raz spotkała się z nim wówczas, kiedy to zamyślonemu Kuźmie jakieś znajome „ach" zabrzmiało. Potem widzieliśmy, jak go na pobojowisku opatrywała, a teraz znowu szła z powrotem, powtarzając sobie:

— On wyzdrowieje i wróci.

Błądziła po drogach, szła dniem i nocą. Aż gdy pewnego wieczora niespodzianie do swojej weszła chaty, nikt jej nie poznał, ani nawet rodzona matka. Dopiero gdy odezwała się, kobiety i dzieci z krzykiem do niej się rzuciły i w Semenowej chacie powstał śmiech i płacz,

gwar zapytań i urywanych rozmów. Wkrótce sąsiedzi, a potem i wieś cała się zeszła. Ale Jerynka była jakby nieprzytomna, nie odpowiadała na zadawane jej pytania i mówiła od rzeczy. Z początku wszyscy myśleli, że to tak ze zmęczenia... lecz potem poznano, że była ciężko chorą. Przeleżała biedaczka nie mało czasu. Potem powoli podnosiła się, jak ten zwiędły kwiatek, prostujący się i rozwijający w ożywczej rosie. Z jej wyzdrowieniem wrócił spokój pod strzechę Semena i młynarza, a dla Jerynki rozpoczęło się wyglądanie Kuźmy.

— Jak ja długo leżałam?.. — pytała młynarki.

— Sześć tygodni, moje dziecko, — odpowiedziała zapytana.

— Sześć tygodni, a jeden — to siedem... Powinienby już wyzdrowieć... Ale nie, bo on był ciężko raniony i bardzo osłabiony.

— Doglądaliż tam jego?.. — przerwała drżącym głosem i ze strwożoną twarzą matka.

— Ach! jeszcze jak! zawieźli go w złocistej karecie i panowie mu usługiwali... A na takiem pięknem i bogatem łóżku położyli i na palcach koło niego chodzili!.. Jego jeszcze może trzymają, żeby zupełnie wyzdrowiał... Ale za miesiąc powinien przyjechać...

Tak sobie Jerynka obiecywała. Przyszła jednakże jesień i minęła, przyszła zima i minęła, przyszła wiosna, a Kuźmy jak nie było, tak nie było. Jerynka zupełnie wyzdrowiała i jeszcze piękniejszą się zrobiła i tęskněła, ale już wojny nie było, więc nie trwożyła się — jeno czekała i wyglądała.

———

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Jerynka nie przesadzała, mówiąc, że najwięksi panowie na palcach koło Kuźmy chodzili.

Starosta, zdając sprawę hetmanowi z ruchów swego oddziału, zakończył opowiadaniem czynu towarzysza pancernego, imćpana Jeża: „któremu — były ostatnie wyrazy starosty — zawdzięczam życie."

— Któremu — podchwycił Zamojski — ojczyzna zawdzięcza zachowanie jej takiego męża, jak waszmość, panie Starosto... Cóż stało się z imćpanem Jeżem? — zapytał hetman.

— Widziałem, jak padł... — odparł Starosta — ale nie jestem pewny, czy zginął...

— A to o tem trzeba się natychmiast do-

wiedzieć... — zawołał hetman podniesionym głosem. – Nie żyje, czy żyje, taka cnota nie powinna zostać bez nagrody...

Obecni temu panowie, a byli tam sami Chodkiewicze, Wiśniowieccy i im podobni, — zaczęli jednogłośnie czyn Kuźmy wychwalać. Zamojski wysłał natychmiast po niego swoję karetę. Na spotkanie Kuźmy wyszedł tłum rozmaitego rodzaju rycerstwa. Zamojski, Starosta Kamieniecki, Chodkiewicze wyszli też do rannego, a Hetman własny namiot rozkazał dla niego przygotować.

Następnego dnia odwieziono Kuźmę do Jass, głównego miasta Mołdawii, gdzie i Jerynka za nim podążyła i ztamtąd, uspokojona już o jego życie, wróciła do domu. W Jassach sam hospodar doglądał, aby mu na niczem nie zbywało, a gdy po kilku miesiącach nabrał już trochę siły, to odstawiono go do Kamieńca.

Tu, począwszy od pań, które bardzo się Kuźmą zajmowały, aż do mieszkańców zamku i miasta, wszyscy byli uprzedzeni o przyjeździe Kuźmy. Czekali na niego, a wyglądali. Jak tylko pojazd ukazał się na przedmieściu, natychmiast dano o tem znać do miasta: a z miasta do zamku i wszystko co żyło, wybiegło na spotkanie jego. Pomiędzy rzemieślnikami

była mową, czy niepotrzeba wystąpić z cechowemi chorągwiami, a między żydami: czy nie godziłoby się wynieść dziesięcioro Bożego przykazania na cześć tak dzielnego rycerza. Nie było jednak dla rozważania tej spiawy dość czasu. Więc rzemieślnicy, i żydzi, i mieszczanie i kto tylko był w mieście, bez chorągwi i przykazań, biegli na przeciwko pojazdu, witali Kuźmę okrzykami i ciągnęli za nim, aż do bramy zamkowej, gdzie spotkał go cały dwór Starosty. Dworscy Starosty wynieśli Kuźmę z powozu i, posadziwszy na fotelu, na ganek zanieśli. Tu go powitały panie. Starościna powiedziała mu, że widzi w nim zbawcę swego męża i rozpłakała się. Starościanka, na nic nie zważając, przyklękła przed nim i, zalewając się też gorącemi łzami, w kolana go całowała. Pomiędzy dworskiemi paniami wiele było takich, które płakały i każda cisnęła się do Kuźmy, żeby mu coś powiedzieć, lub tylko popatrzyć na tak znakomitego męża. Pani Wolska rzekła:

— Winszuję panu, panie Jeż... Winszuję i cieszę się...

Kuźma nic na to wszystko nie odpowiadał. Zrobiło mu się jakoś rzewnie, jakby do rodziny się dostał; zdawało mu się, że te panie, co go otaczyły, były jego rodzonemi siostrami.

Następnie Kuźma wniesionym został do osobnych pokoi i tam otoczono go taką staranością, na jaką tylko dom bardzo bogaty i polska serdeczność zdobyć się mogły. Nic mu nie brakło, ptasiego nawet, — jak powiadają, — mleka, a pielęgnowano go i rozpadano się nad nim, jakby rzeczywiście wszystkim tym paniom był on rodzonym synem. Jedna drugą wyprzedzały i przy łóżku chorego siadywały kolejno.

Kuźma, znużony podróżą i powitaniami, zasłabł znowu gorzej. Rany jego byly bardzo ciężkie, tak że powoli do zdrowia powrócił. Gdy było mu lepiej, panie rozmową go bawiły, lub czytywały mu książki. I zapewne nie podejrzywały tedy, że każda z nich była dla niego nauczycielką, bo obznajmiała go z wielu obcemi dla niego rzeczami. Najprzyjemniejszem mu było towarzystwo pani Wolskiej. Patrzył na nią, przypominała mu się Jerynka, a gdy mówiła, zdawało mu się, że słucha rozumnych słów Lisowskiego. Pomiędzy paniami coraz większa rosła też ciekawość dowiedzenia się kim w rzeczywistości był Kuźma. Starościanka czasem wprost go zapytywała:

— Czy rzeczywiście jesteś królewiczem szkockim, lub sułtanem tureckim?

W takich razach pani Wolska zawsze w żart obracała podobne zapytania. A Kuźma był jej bardzo za to wdzięcznym, gdyż Lisowski zabronił mu jeszcze przyznawać się do swego pochodzenia.

Tak zeszły Kuźmie jesień i zima, aż nadeszła wiosna, a z nią powrót do Kamieńca Starosty z wojskiem.

Potocki, po przywitaniu się ze swoją rodziną, pytał natychmiast o pana Jeża. A spotkawszy go niedaleko, wyciągnął do niego rękę i rzekł:

— Za najpierwszy obowiązek poczytuję sobie podziękowanie waszmości... Tobie zawdzięczam, że żywy i zdrów rodzinę moję widzę...

Kuźma uścisnął podaną rękę, a starosta pociągnął go ku sobie, otoczył ramionami i ucałował.

— Niech waszmości Bóg zapłaci... — mówił wzruszonym głosem — bo wszystko, co mogę zrobić, wynagradzając twoję cnotę, nie wyrównywa mojej wdzięczności.

— Mnie żadnego wynagrodzenia nie potrzeba...—odparł rozczulony Kuźma—ja tylko swoję powinność pełniłem...

— Takie pełnienie powinności jest cnotą, — mówił starosta —a taka cnota powinna ludziom

być znaną... Więc wynagrodzenie nie tyle jest dla pana, ile dla ludzi, których zachęca do naśladowania...

Ze starostą zamek się zaludnił, zrobiło się w nim huczno, szumno i wesoło. Wszyscy przygotowywali się do parady i uroczystości, jakie miały się odbyć na dzień św. Stanisława. Rotmistrze dostali od Starosty rozkaz, aby dnia tego wystąpiono jak najparadniej i jak najświetniej. Kuto konie, naprawiano rynsztunki, czyszczono i polerowano zbroje. Całe rycerstwo było zajęte i zafrasowane, a z niem i nasz Kuźma, któremu uzbrojenia brakowało.

— Co ja pocznę nieszczęśliwy, użalał się przed kolegami, którzy mu wszyscy wielką przyjaźń okazywali.

— Czego się waszmość frasujesz?—zapytał go jeden.

— Jak nie mam się frasować, kiedy ani konia, ani hełmu nie mam,—odparł Kuźma.

— I! to rzecz mała... Konia możesz waszmość zażądać ze starościńskiej stajni a hełm pożyczy ci ten, co ma dwa...

Lecz zaledwie towarzysz te wyrazy wymówił, zjawił się starościnski pachołek i oświadczył imieniem starosty, że starosta prosi imćpana Jeża, aby za swój hełm strzaskany raczył przyjąć od

niego nowy, a za konia zabitego—żywego, z rynsztunkiem.

— A! otóż niema już o co się frasować...— rzekł kolega.

Kuźma przyjął podarki, za które kazał podziękować staroście. Koledzy oglądali je i zachwycali się.

Hełm był prześliczny, koń rosły i młody.

Nadszedł dzień 8 maja.

Zaraz po nabożeństwie wszystko co żyło w mieście i zamku, udało się na jeden z ogromnych dziedzińców zamkowych, przeznaczonych do parad. Był to obszerny plac dokoła otoczony murami, pod którymi stopniami wznosiły się ku górze ławki i ganki. Wszystko to napełniło się ludźmi tak, że nie było gdzie szpilkę tknąć.

Naraz rozmowy ustały a z za bramy o uszy zebranych uderzyły dźwięki i brzęki wojennej muzyki.

Teraz już wszyscy zwrócili oczy na bramę. Najpierw przesunęła kapela, za kapelą pokazała się cudzoziemska piechota, w długie miecze uzbrojona. Było jej trzy roty. Przed każdą niesiono sztandar. Zajęła ona część placu i uszykowała się obok kapeli. Za piechotą wysunęła się z bramy rota hussarzy. Ci tak pięknie i strojnie wyglądali, że wśród tłumu zabrzmiało ogólne:

— „hura.” — I grzmiało dopóty dopóki się hussarze nie uszykowali półkręgiem. Następnie pokazała się mniej świetna ala dzielnie wyglądająca—chorągiew pancerna. I tym razem „hura” zabrzmiało. I powtarzało się razy pięć witając każdą wchodzącą i szykującą się chorągiew pomiędzy któremi dwie ostatnie były kozackiemi.

Po zupełnem uszykowaniu się wojska, na środek wyjechał Starosta, świetnym dworem otoczony. Jak tylko się ukazał!:—Niech żyje Starosta!..wiwat Starosta!..—huknęło na całem podworcu. I huczało, grzmiało, aż konie pod jeźdźcami parskać, niecierpliwić się i kopytami ziemię grzebać zaczęły.

Chorągwie się pochyliły, tym sposobem witając go niejako.

Jaki był pod nim kon, jaki na koniu rynsztunek — nad tem niepotrzebniebym się rozwodził Dość, jeżeli powiem, że pod rotmistrzami piękne były konie, ale pod Starostą najpiękniejszy, że rynsztunki i zbroje towarzyszy i rotmistrzów były piękne i bogate, ale Starosty najpiękniejsze i najbogatsze. Starosta powolnym stępem, hamując rwiącego się konia, objechał szeregi, które w milczeniu i porządku stały. Przez ten czas grzmiała muzyka, okrzyki—i nie ucichły, aż pan Potocki zatrzymał się na środku placu.

Zatrzymał się i rękę wyciągnął. Był to znak uciszenia się. Na ten znak, jakby makiem zasiał na placu. W ciszy tej, dał się słyszeć wyraźny i donośny głos Starosty.

—Panowie towarzysze, rycerstwo, kwarciani i wierni Zaporożcy! Król Jegomość a pan nasz miłościwy, polecił mi złożyć wam, w jego imieniu, uroczyste podziękowanie, za cnotliwe i zaszczytne sprawowanie się wasze podczas ostatniej z Wołochami potrzeby...

Potem opowiedział w krótkości dzieje wojny wołoskiej, podniósł zasługi względem ojczyzny. I mówiąc o zasługach tych, podał jako przykład Kuźmę Jeża.

— Panowie towarzysze, rycerstwo. kwarciani i Zaporożcy!—ciągnął,—Imć pan Kuźma Jeż, o czem wszyscy świadczyć możecie, zasłużył na to, aby go zaszczytnie wymienić i jako wzór postawić... Lecz kto takiej cnoty dał dowody, tego o rodzinę i pokrewieństwo pytać nie należy, ten, jeśli nie jest świetnego rodu potomkiem, sam swoją osobą staje świetnie na czele swego rodu ... Panie Kuźmo Jeżu wystąp z szeregu!..

Kuźma, gdy imię jego zabrzmiało w obec takiego licznego i okazałego zgromadzenia, zmieszał się. Krew uderzyła mu do głowy, w

oczach mu pociemniało; patrzał przed siebie i nie widział nic.

Towarzysze szeptali mu:

— Daj waszmość koniowi ostrogi...

To oprzytomniło Kuźmę. Zwalniając koniowi cugli, uderzył go ostrogami. Koń wyskoczył susem, Kuźma osadził go przed starostą. Ten wydobył z zanadrza arkusz papieru i pierścień, a trzymając jeden i drugi tak mówił:

— Byłoby wielką niesprawiedliwością, gdyby cnota pozostała bez nagrody... To też Imci panie .Kuźmo Jeżu, za sprawą hetmana wielkiego koronnego Zamojskiego i za jednogłośnem zgodzeniem się wodzów, którzy walczyli w teleżyńskim boju, sporządziliśmy dla waszmości dokument następujący...

Tu rozwinął papier i odczytał. W dokumencie tym stało szeroko i długo opisane, jak Kuźma zasłużył się ojczyźnie. Starosta przeczytał wszystko, a na końcu podpisy, których było przeszło trzydzieści. Skończywszy czytanie, podał Kuźmie papier, mówiąc:

— Stań z tem waszmość przed królem i sejmem, i, jeżeli jesteś szlachcicem, proś o wyższe szczyty, jeżeli zaś nim nie jesteś, proś o szlachectwo. Na podstawie tego dokumentu jesteś szlachcic polski.

Tu starosta zamilkł, a tłum zakrzyczał:

— Niech żyje Kuźma Jeż!.. wiwat szlachcic polski!..

— Niech żyje!.. — powtórzyły szeregi i podwórze zagrzmiało Kuźmy imieniem.

Kuźma stał ze spuszczoną głową. Koń pod nim żuł wędzidła i kopał niecierpliwie kopytem.

Gdy uciszyło się, Starosta, podając Kuźmie pierścień, rzekł:

—A oto dar dla waszmości, od jego miłościwości Jeremijasza, mołdawskiego hospodara.. Mając pierścień, o co byś prosił jego hospodarskiej mości, odmówionem ci nie będzie.

Kuźma wziął pierścień i dokument. Wszyscy oczekiwali od niego podziękowania. Uciszyli się więc, jak przed przemówieniem starosty.

Nagle Kuźma podniósł głowę. A oddając staroście pierścień i papier, odpowiedział dobitnie:

— Nie potrzebuję, wielmożny starosto, ani tego pierścienia, ani tego papieru: bo ja nie za hospodara krew przelewałem, ale za rzeczpospolitę—nie dla papieru, ale dlatego, że mnie moja gromada wysłała... Bo ja jestem chłop z Hrynenek, gdzie mój ojciec jest młynarzem, ma chatę i pole...

W zgromadzeniu rozległ się jakiś szmer,

Kuźma odchrząknął i dalej mówił:

— Powinienem wrócić wielmożny starosto, do gromady, która mnie wysłała... A jeżeli zasłużyłem na nagrodę, to gromada mnie wynagrodzi... Gromada wysłała mnie służyć ojczyźnie, a nie dobijać się o szlachectwo. Na to mam dowód od gromady... Jeżeli zasłużyłem się, to mam od was, panie starosto, i od moich towarzyszy, dobre słowo, za które dziękuję... Tego dla mnie dosyć, abym mógł wrócić i śmiało popatrzeć w oczy ojcu memu i starszym z gromady...

To powiedziawszy, zawrócił konia i odjechał do szeregu. Jakoweś osłupienie owładnęło na chwilę widzami, poczem Zaporożcy huknęli raptem:

— Hura!..

I powtórzyli to trzykrotnie, a lud i mieszczanie wtórowali im echem.

Chorągwie rycerskie, panowie i panie milczeli i z podziwem przypatrywali się Kuźmie.

Na jednym tylko ganku były oczy, które inaczej, bo z zachwytem i uwielbieniem, patrzały na Kuźmę, a patrywały długo, długo, aż łzami zaszły i powiekami się przykryły...

Były to oczy pani Wolskiej.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Po paradzie zebrali się wszyscy w pokojach zamkowych. Kuźma poszedł tam także. Ale jakże się zdziwił, gdy poznał, że przez te kilka godzin wszyscy się dla niego zmienili.

Jeżeli przy kim usiadł, to natychmiast wstawano i samego zostawiono; jeżeli do kogo się zbliżył, to odwracano się do niego plecami; jeżeli przemówił, to nieodpowiadano. Panowie z ukosa na niego spoglądali. Panie kręciły główkami i odwracały się od niego. — „Co to im się stało?" — myślał sobie Kuźma. Potem, szukając przyczyny tej zmiany, przypomniał sobie słowa Lisowskiego, który mówił, że szlachta, gdyby wiedziała kim on jest, toby nigdy nie przyjęła go do swego towarzystwa. Rozjaśniło mu się w głowie, a w sercu dziwnie przykro się zrobiło. — „Cha, cha, cha! — szeptał sobie. To gdybym był milczał i przyjął dokument od starosty, toby mi się oni teraz kłaniali... A żem się nie zaparł rodziców, to dlatego się odemnie odwracają?.."

Był zły i chodził po salach z tem wyżej podniesioną głową, że czuł całą niesprawiedliwość w postępowaniu tych ludzi. Spostrzegłszy zda-

leka starostę, chciał podejść do niego, ale Potocki tak był otoczony, że nie można się było do niego dostać, Lisowskiego też nie było na salach, więc Kuźma chciał już odejść, gdy za nim odezwał się łagodny głos pani Wolskiej:

— Panie Jeżu!..

Kuźma obrócił się i pełnym wdzięczności wzrokiem spojrzał na wdowę. Postąpili razem parę kroków.

— To pani nie gniewa się na mnie, żem chłop? — zapytał.

— Panie Kuźmo!.. czyż można za to się gniewać?

— A ja myślałem, że i pani na mnie się gniewa, — rzekł Kuźma.

Pan nie powinieneś tak myśleć... podchwyciła wdowa. Ja właśnie przyszłam pana przekonać, że za co cię wszyscy odpychają, za to właśnie ja ciebie szanuję.

— Pani tak dobra — powiedział wzruszony Kuźma. — Pani mnie pocieszyłaś... dziękuję.

— Nie dziękuj, — mówiła wdowa, — jam taka szczęśliwa, żem mogła pana pocieszyć... — i zapytała: Czy pan długo jeszcze w Kamieńcu zostanie?

— Nie wiem, — odparł Kuźma. — Zdaje m

się, że nie długo... Może jutro, może pojutrze odjadę...

— Powróci pan do swoich, do swojej wsi... Kogóż pan tam ma z najbliższych?

Kuźma rad, że po roku znajomości pierwszy raz zdarzyła mu się sposobność mówić o swoich, rozgadał się szeroko. Opowiadał jej o ojcu, o matce i o Jerynce. Pani Wolska dopytywała się, ile narzeczona jego ma lat, jak wygląda, od jak dawna się znają i czy jest dobrą.

— O, dobra!.. Ale jaka jeszcze dobra!.. jak anioł, jak pani...—odpowiedział Kuźma na ostatnie pytanie wdowy.

— I kochacie się szczerze?

— O, jeszcze jak!.. Ja za nią dałbym się porąbać na drobne kawałeczki, a ona bezemnie nie mogłaby żyć.

Tymczasem na sali oczy wszystkich obecnych były zwrócone ku Kuźmie i pani Wolskiej.

W owe wieki szlachta w Polsce i we wszystkich innych krajach miała wiele swobód i praw, panoszyła się więc ogromnie i wynosiła nad wszystkie inne stany, a nawet było pomiędzy nimi przekonanie, że szlachta z innej ulepiona gliny, a chłopy z innej. Dworzanie też Potockiego nie

mogli zrozumieć, jak to można przyjaźnić się i uważać za równego sobie chłopa.

Ztąd nietylko już na Kuźmę, ale i na panią Wolską, zaczęto patrzeć zukosa. Panie śmiały się z niej, a przypominając sobie, że i one niedawno jeszcze przyjaźniły się z Kuźmą, tem dotkliwszemi słowy szydziły z pani Wolskiej.

A jedna zawołała:

— Już to nasza niedostępna wdowa zakochała się chyba w tym chłopie.

Panowie też, a szczególniej dawni zalotnicy pani Wolskiej, wyśmiewali się z przechadzającej się pary.

Ta niegrzeczność dworzan nie obchodziła już wcale Kuźmy. Pojął, ze rozumni ludzie nie odepchną go, a przeciwnie tem bardziej będą go szanowali; nierozsądni zaś, nie obchodzili go wcale.

Tak sobie z początku myślał, ale potem okazało się, że ludzi niemądrych było stokroć więcej, niż rozumnych. Dalszy pobyt w zamku Kamienieckim stał się dla niego nieznośnym. Nie miał nawet po co zostawać, gdyż rotmistrz przysłał mu papier, wydalający go z roty pancernej. W świadectwie tem było wiele o jego zasługach i waleczności, ale zawsze było to wydalenie, o które wcale nie prosił. Przytem pachołek go

opuścil, a gdy Kuźma pytał się dlaczego nie chce u niego służyć, odpowiedział:

— Jak mam służyć, kiedy się stałem ludziom pośmiewiskiem. Daleko gdzieś muszę szukać służby, bo ani tu, ani nigdzie, gdzie tylko waszmości znają, nie znajdę... Wszystkie sługi i pachołki palcem mnie wytykają.

— To jedź ze mną do Hrynenek.

— Po co? — zapytał ze zdziwieniem pachołek.

— Będziemy razem koło roli pracowali...

— Proszę waszmości ja do takiej pracy nie stworzony... —odparł jednym tchem pachołek.—Czy to ja chłop? Niech mi waszmość zapłaci a ja już sobie poradzę.

Kuźma oddał pachołkowi należność i powiedział sobie:

— To już mi tu nie popasać! Wszyscy mnie odepchnęli, tylko ona jedna... — pomyślał przypominając sobie panią Wolską—no i staruszek Wojski uśmiechał się domnie, a gdyby był Lisowski... Lecz tego już od paru dni nie widziałem.

Począł zwijać się i składać swoje rzeczy—we dwie godziny był już wybrany.

Rozumie się, że zabrał tylko to, z czem wyjechał z Hrynenek i co za swoję wyłączną własność

uważał, dołączając do tego hełm, konia i rynsztunek, darowane mu przez starostę. Resztę zaś, to jest: dwa konie z ich uzbrojeniem zamierzył zostawić Lisowskiemu, od niego bowiem dostał je na drodze z Hrynenek do Kamieńca i chociaż w oczach wszystkich uchodziły one za jego własność, ale w swojem sumieniu uważał je Kuźma jako własność Lisowskiego, gdyż ten ostatni nie darował mu ich, a on mu za nie nie zapłacił.

— Zostawię to w rękach marszałka...—powiedział do siebie Kuźma—a on Lisowskiemu odda...

Pokończywszy przygotowania podróżne, poszedł pożegnać się ze starostą.

Zdziwił się, gdy zastał tam Lisowskiego. Ten ostatni pozdrowił go uprzejmem głowy skinieniem, starosta zaś jeszcze uprzejmiej, bo wstał i rękę mu podał.

— Cóż?.. — zapytał go z dobrotliwym uśmiechem.

— Wybrałem się, miłościwy starosto, w drogę... — odparł Kuźma — i tylko pozostaje mi pożegnać waszą wielmożność...

Starosta z uśmiechniętego zmienił wyraz twarzy na surowy i zamyślony, kilkakrotnie powtórzył do siebie:

— Szkoda... szkoda... szkoda.

Potem rzekł:

— Tacy ludzie, jak waszmość, rzadkimi są w naszym wieku. Kto tylko palcem kiwnie, to wnet to sobie za zasługę liczby, i wniebogłośnym krzykiem o nagrodę się upomina. Gdyby wszystkim upominającym się wedle ich żądania nagrody wydzielać, to dziesięć, co mówię! sto Rzeczpospolitych Polskich na toby nie wystarczyło... Waszmość jest wyjątkiem... A przecież niechciałbym waszmości bez nagrody puścić. Toby mi na sumieniu, jak grzech ciężyło.

Kuźma milczał.

— Zażądaj waszmość czego odemnie... — rzekł starosta proszącym niemal głosem, — choćby jakiej pamiątki.

— Wasza wielmożnosć dałeś mi konia, hełm i rynsztunek... — odrzekł Kuźma, — To ja sobie na pamiątkę zatrzymam.

— Te są tylko zwrotem za tego konia, helm i rynsztunek, które w obronie mego życia, z narażeniem własnego, postradałeś... — przerwał Potocki z niecierpliwością w głosie.

Kuźma milczał.

— Pokaż waszmość imć panu staroście dokument hryneńskiej gromady, — rzekł Lisowski.

Kuźma wydobył z zanadrza dokument i podał. Starosta przeczytał po cichu i rzekł:

— Pięknie...

I miał już oddać Kuźmie, gdy Lisowski odezwał się:

— Niech imć pan, panie starosto, dopisze tu własnoręcznie, jako jegomość Kuźma Jeż dobrze się Rzeczypospolitej zasłużył. Ten dopisek, opatrzony podpisem i pieczęcią waszej miłości, będzie dla imć pana Jeża dostateczną nagrodą. Wszak tak?.. — zapytał Kuźmy.

Kuźma głową skinął, a starosta natychmiast usiadł, napisał, podpisał i przypieczętował, świadcząc jako urzędnik Rzeczypospolitej Polskiej i naczelnik Kuźmy.

Oddając mu papier, zapytał raz jeszcze:

— Więcej nic?

— Nic, wielmożny starosto, — odpowiedział zapytany. — Pokłonię się tylko waszej wielmożności i wyruszę w drogę.

To mówiąc, pokłonił się nizko i miał się ku wyjściu. Starosta wziął go za rękę, serdecznie uścisnął i błogosławił.

— Kiedy ani ludzie, ani ja, nie w stanie twoję cnotę wynagrodzić, to niech ci za nią Stwórca niebieski wynagradza. Bądź zdrów... Pamiętaj o mnie... Pamiętaj, że masz we mnie przyjaciela i dłużnika...

Wzruszony i rozrzewniony opuścił Kuźma starostę. Pozostawało mu już tylko osiodłać

konia, wsiąść i jechać. Szedł więc. Lecz na środku podwórca się zatrzymał, obrócił i począł spoglądać po zamkowych oknach. Szukał kogoś i czekał, i doczekał się — Lisowskiego.

— Czego waszmość tak strzelasz oczami? — zapytał go ten ostatni znienacka.

Kuźma się zmieszał, jakby na gorącym schwytany uczynku.

— Cóżby na to powiedziała Jerynka!.. — ciągnął Lisowski. A ona tam tęskni, wygląda i czeka... Takiej jak Jerynka, tu żadnej niema...

Kuźma uśmiechnął się zadowolony, że jego narzeczonę chwalono i rzekł:

— I... możeby się znalazła...

— Która naprzykład?

— Pani Wolska..:

— Ehe!.. patrzcie czego się zachciewa!.. — podchwycił szlachcic, śmiejąc się. — Otoż ja waszmości powiem, że ani ona nawet Jerynki nie warta — i pani Wolska nie zrobiłaby tego, co waszmości narzeczona...

— Cóż ona zrobiła? — zapytał Kuźma uderzony pewnością, z jaką mówił to Lisowski.

Szlachcic jednak nic na to nie odpowiedział i zagadał o czem innem.

— Tęgoś się waszmość znalazł!.. Podro-

słem i odmłodniałem, kiedym się dowiedział o wczorajszej paradzie...

Na odjezdnem szlachcic rzekł do Kuźmy:

— Mam do waszmości prośbę..

— Jaką?

— Dałem waszmości pierścień...

— Ach! prawda... — podchwycił Kuźma, który, przyzwyczaiwszy się przez rok cały, do obrączki, zapomniał, że ją miał na palcu, począł więc ją zdejmować.

— Nie zdejmuj... rzekł Lisowski. — Właśnie chcę waszmości prosić, abyś go zachował na pamiątkę...

Kuźma podziękował Lisowskiemu i obydwa na chwilę spoili się długim, serdecznym braterskim uściskiem.

Kuźmie w gardle coś napoprzek stanęło i oczy zwilgotniały.

— Do widzenia!.. — mówił, żegnając się, Lisowski. A pokłońcie się tam odemnie starym i wszystkim w Hrynenkach!

Pani Wolska niepostrzeżona, przypatrywała się temu pożegnaniu. Stała u okna długo, długo... aż gdy zniknął już szlachcic i Kuźma odjechał, ona szepnęła:

— Gdyby to u nas takiej szlachty, jak Lisowski, i takich chłopów, jak Kuźma, było wię-

cej... a więcej.., toż mogłaby być zgoda i szczęście... Czy kiedyś... kiedyś... przyjdzie do tego w świecie?..

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Kuźma znajomą drogą, przez Mohiłów i i Bracław, jechał do Hrynenek. Dojeżdżając już do wsi rodzinnej, w tem samem miejscu w którem zapłakał, opuszczając Hrynenki, zapłakał, powracając do nich. Zsiadł z konia, a idąc powoli, co chwila się zatrzymywał i oczy obcierał. Aż gdy wszedł na hryneńskie pola, uklękł, krótko się pomodlił, ziemię która go wychowała z uszanowaniem i miłością raz, drugi i trzeci pocałował i wsiadł na konia.

Jak go spotkano i powitano w Hrynenkach—to i opisać trudno. Krzyk dziatwy rozniósł wieść o przybyciu jego po wsi całej.

— Przyjechał!..— wrzaskliwie i piskliwie ciągnęło się z jednego końca Hrynenek w drugi, wznosiło się i opadało kilkakrotnie, i zwoływało z chat, z sadków, z chlewów zewsząd wszystkich mieszkańców sioła.

Młynarz rozpłakał się, młynarka ledwo nie oszalała z radości. Ojciec, powitawszy syna, jak usiadł na ławie, tak i siedział, i oczu od niego

oderwać nie mógł. Matka przeciwnie, niby żywe srebro, po izbie biegała, kręciła się, wyskakiwała do sieni i zewsząd do Kuźmy wracała, stawała przed nim, śmiała się naprzemian, to płakała.

Na Jerynce wieść o przybyciu Kuźmy dziwne zrobiła wrażenie. Zerwała się zaraz i biedz chciała, raptem się zatrzymała i niby skamieniała na miejscu.

— Chodź! — rzekła do niej matka.

Jerynka nic nie odpowiedziała; wróciła i usiadła na ławie, i zrobiła się blada jak ściana.

— Co ci? — spytała matka.

— Nic matko... — odrzekła dziewczyna.

— Ty taka blada... Czego to?

— Nie wiem, czego...

— Kuźma przyjechał...

Jerynka się uśmiechnęla.

— Chodź!..

— Nie, ja teraz nie pójdę...

— Czemu?

— Och! nie wiem... Ale niechajno... To przejdzie... Ja czegoś osłabłam... Na nogach ustać nie mogę...

— Może tobie dać wody? — zapytała matka.

— Ach, prawda! — zawołała dziewczyna — wody, tak wody!

Po wodzie Jerynce zrobiło się lepiej. Wkrótce rumieńce wróciły jej na twarz, siły się wzmogły, wstała i poszła do chaty młynarza. Tu przyjście ich pomnożyło radość; Kuźma i Jerynka patrzyli na siebie, niby w tęczę. On śmiał się do niej, ona śmiała się do niego, a patrząc się na nich, uśmiechali się i śmieli: młynarz i młynarka, Semen i Semenycha, ojciec i matka Jerynki. Nie prędko przyszło do tego, że można było się rozmówić. Najpierwszy opamiętał się Semen:

— Zrzuć z siebie to żelastwo...— rzekł do Kuźmy.

Na te słowa kobiety poskoczyły do Kuźmy. A gdy został w lekkim kaftanie, zapytał matki:

— A gdzie moja siermięga?

— Twoja siermięga? — zawołała młynarka i wybiegła po nią do komory.

Kuźma wdział siermięgę i usiadł na ławie. Natychmiast koło niego przysiadła matka, z drugiej strony matka Jerynki, a Semenycha i Jerynka przed nim stanęły.

— Czegoż go nam zasłaniacie!.. zawołał Semen. — Niech i my na niego popatrzymy...

Semenycha i Jerynka rozstąpiły się.

— Przecie on z drogi, musi być, jeżeli nie zmęczony, to przynajmniej głodny.. — odezwał się Semen.

— Ach! prawda... — krzyknęły kobiety i wszystkie, wyjąwszy Jerynki, poczęły się krzątać.

Pomału porządek powrócił; radość się uspokoiła, myślano o ugoszczeniu drogiego gościa.

Młynarka wyszukiwała i zniosła wszystko, co tylko najlepszego znaleźć mogła w chacie. Ze wsi zaglądał to ten, to ów, ale na krótko, bo był to już czas roboczy.

— O jakiż ja rad, żem się pomiędzy was dostał!.. — rzekł do rodziców Kuźma późnym już wieczorem, gdy zostali sami. — Jakoś mi aż lżej na sercu.

— Ale u ojca i u matki, nie będzie ci tak, jak na świecie, — odezwała się młynarka.

— I! — odparł Kuźma. Te pańskie wygody, to niby piana; niby to one dobre, ale nie pożytne.

— Ja tu tobie, moje dziecko i posłać nie potrafię tak, aby ci miękko było... — rzekła młynarka. Chyba przyniosę żytniej słomy...

I ruszyła po słomę, ale ją Kuźma powstrzymał.

— Nie potrzeba, matko... Niech mi odrazu w domu będzie tak, jak było.... Bo, ' ot, gdy wszedłem pod naszę strzechę, to już mi się zdaje, że cały ten rok był snem!.. Śniło mi się, żem po pałacach chodził, a teraz obudziłem się.

I przespał się Kuźma na dębowej lawie, smacznie, jak w puchach pałacowych — i zbudził się, jak niegdyś, o świcie.

Dnia tego w chacie młynarza zebrała się starszyzna. Zebrali się wszyscy pod przewodnictwem wójta, zupełnie tak samo,jak wówczas, gdy Kuźmę wyprawiano w świat.

— Teraz czas gorący, — wójt rzecz zagaił, — trzeba śpieszyć w pole... Zeszliśmy się więc nakrótko tylko, by pozdrowić z drogi naszego wojennego przedstawiciela i spytać go, co on nam dobrego przywozi?

Kuźma, nic na to nie odpowiedziawszy, podał wójtowi gromadzki dokument.

Wójt rozłożył papier, przebiegł okiem znane pisanie i na dole dopiero zatrzymał wzrok, który mu się rozjaśnił. I począł czytać:

— „Niżej na podpisie wyrażony, poświadcza niniejszem, że imć pan Kuźma Jeż, wysłany przez gromadę wsi Hrynenek, służąc w czasie wołoskiej wojny jako towarzysz w rocie pan-

cernej, tak odznaczył się walecznością i cnotą, że zasłużył na publiczne podziękowanie ze strony Hetmana Wielkiego Koronnego, wszystkich wodzów, przełożonych i towarzyszy. Niżej podpisany, w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej, dziękuje gromadzie wsi Hrynenki." Dan 9-go maja 1601 r., w Kamieńcu. Jan Potocki, Starosta Kamieniecki.

— Aha! widzisz! sam pan Potocki odpisał naszej gromadzie,—odezwał się wójt.

Młynarz spojrzał na syna rozrzewnionym wzrokiem, a starcy spojrzeli po sobie. W oczach ich zabłysła radość.

— Toś ty, synu, dobrze się sprawił, — rzekł wójt do Kuźmy.—A ponieważ pan Potocki, w imieniu Rzeczypospolitej dziękuje nam, to takimże prawem, my dziękujemy tobie... Niech ci Bóg wynagrodzi za to, żeś sławą okrył naszę gromadę.

Kuźma pokłonił się starcom, z których każdy po kilka wyrazów pochwały mu powiedział. A gdy mieli się rozejść, jeden się odezwał:

— Hej! panowie gromada! Jedno słówko!..

Starcy się zatrzymali, a on prawił:

— Tam w piśmie Potockiego stoi: „Kuźma Jeż".. Zkąd się wziął ten dodatek: „Jeż?"

-- Jeżem przezwał mnie Lisowski, — odparł Kuźma, — i dał mi na pamiątkę ten oto pierścień, na którym jest Jeż wyrżnięty.

— To niechże zostanie przy tobie to przezwisko, — odezwał się wójt.

— Niech zostanie... — powtórzyli inni chórem i wesoło, a oglądając przechodzący z rąk do rąk pierścień, dopytywali się o rabego szlachcica.

— Kazał się wam pokłonić i pozdrowić was, panowie gromada,—odpowiedział Kuźma.

I rozeszli się.

Jedna jeszcze niespodzianka spotkała Kuźmę. W wolnych od pracy chwilach rozpowiadał on o tem, co widział na świecie i co się z nim samym działo. Jakże się zdziwił, gdy usłyszał, że o jego chorobie wiedziano w Hrynenkach.

—Kto wam to rozpowiedział?—zapytał.

Któż miałby rozpowiedzieć, jeśli nie Jerynka.

A zkądże ona o tem się dowiedziała?

— Alboż ona tam nie była?

— Gdzie!? Kiedy!?—z najwyższem zdziwieniem pytał Kuźma.

— To ty chyba o niczem nie wiesz?..

— A o niczem... o czemże miałbym wiedzieć!.. Zostawiłem Jerynkę w Hrynenkach i zawsze myślałem, że ona na mnie czeka.

Tu opowiedziano mu to wszystko, co już wiemy o podróży Jerynki.

— To ona najpierwsza mnie opatrzyła!— zawołał Kuźma, i łzy mu nabiegły do oczów, i nie myśląc bynajmniej, że to wstyd, zapłakał.— Prawdę mówił Lisowski, że i pani Wolska Jerynki nie warta — powiedział sobie Kuźma.

Odtąd pokochali się narzeczeni jeszcze bardziej i byli bardzo szczęśliwi.

KONIEC.